№ 47 Warszawa, dnia 7 (19) Listopada roku 1881.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

MARYI KONOPNICKIEJ.

PO PRZECZYTANIU JEJ WIERSZA: „KOCHAM CIĘ!"

Szczęśliwa, czysta duszo—co tchnieniem skrzydlatem,
Wznosząc się po nad ziemię daleko, wysoko,
Możesz jak orzeł w słońcu zatopiwszy oko,
Rozmawiać tam swobodnie z gwiazdą, duchem, kwia- [tem.
Niejedna myśl wzbudzona dźwiękiem twojej pieśni,
Zapłacze nad swą dolą i skargą wybucha,
Że ciężkich kajdan ziemi nie zerwawszy wcześniej,
Tęsknić musi do gwiazdy, do kwiatu, do ducha!
Lecz wybranko olśniona nadpowietrzną jazdą,
Nie zapomnij gdy ziemskie chcesz stargać ogniwa,
Gdy na tęczy, w obłoku budujesz swe gniazdo,
Że tutaj rzeczywistość do walki cię wzywa,
Że wzniosły cel kobiety, jej wyższość prawdziwa,
Nie leży w czczej rozmowie z duchem, kwiatem, [gwiazdą.

Emilia.

Radoszewice.

OPOWIADANIA Z POBYTU W AFRYCE.

Przez

Stefana Marusińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Szczególniej zaś przyciągał me oczy widok młodej dziewczyny, która leżąc u nóg siwobrodego beduina i głowę na jego kolanach wspierając, przyglądała się z dziecinną naiwnością temu pstremu tłumowi, a ów starzec gładząc jej piękną twarzyczkę, okiem pełnem miłości i dumy na swe dziecię spoglądał. Obrazek ten przypomniał mi żywo Hatfę z „Ojca zadżumionych".

Gdy tedy oparci o palmę mając przed oczyma namioty beduinów, wesoło gawędzimy, nadbiega służący od szeika z oznajmieniem, że igrzyska konne mają się rozpocząć i że pan jego zaprasza nas do siebie.

Z niechęcią i żalem prawie opuszczałem ten spokojny zakątek, przyrzekając sobie powrócić doń, jak tylko sposobność się nadarzy. Opłacając się po drodze natrętnym żebrakom i dzieciom, które widząc Frangów (¹) dopominały się o bakszisz (²) z bezwstydną natarczywością, przybyliśmy wreszcie pod namiot szeika, który natychmiast dał znak do rozpoczęcia fantazyi.

Dachabuka i flety ozwały się dzikiemi tony i na to hasło, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różczki, miejsce wolne przed namiotem zapełniło się nagle tłumem jeźdźców, którzy w pełnym biegu koni z okrzykami i wystrzałami wprost na nasz namiot pędzili.

Do licha, myślę sobie, jeszcze chwila, a oni nas na proch zmiażdżą w tym szalonym biegu.

Lecz nie, próżna trwoga, cały ten zastęp na dwa kroki może od namiotu jak wryty się zatrzymał, a tuman piasku i kurzu chmurą na nas opadając, na kilka chwil oślepił mnie zupełnie.

Otwarłszy nanowo oczy spostrzegłem około 60 jeźdźców na przepysznych rumakach stojących rzędem przed namiotem. Byli to po największej części pomniejsi szeikowie z okolicznych wsi i miasteczek, ludzie w sile wieku tak około lat 40 może.

(¹) Fanghi—nazwa którą tu powszechnie europejczykom dają.

(²) Bakszisz — podarek lub jałmużna.

Bogate ubiory jeźdźców i kosztowny rynsztunek koni, gdzie wszystko od złota i srebra na aksamitach połyskiwało, tworzyły przepyszny widok. Po pozdrowieniu szeika przyczem kilkaset strzałów się odezwało (¹); jeden ze starszyzny mając jedynie długą laskę w ręku rozpoczął przy odgłosie nieodłącznej dachabuki taniec solo. Po kwadransie rozmaitych ćwiczeń ekwilibrycznych, w których przyklękania konia na tę to ową nogę, jako pozdrowienie dla szeika, najwięcej nas zajęły, ustąpił ten jeździec miejsca innym, którzy parami rodzaj pojedynku arabskiego przedstawiali. Zręczne zwroty koni, zginanie i przechylanie się jeźdźców dla uniknięcia ciosu nieprzyjaciela, wykonane były z największą zwinnością i w takt muzyki do tego. Igrzyska te oraz rodzaj wyścigów trwały na różnych punktach placu, tak około dwóch godzin; po którym to czasie wystąpiło na arenę kilkunastu beduinów zbrojnych w długie strzelby i krzywe tureckie szable. Podzieleni na dwa hufce, każdy z wodzem na czele stojąc na przeciwnych stronach placu, czekali w milczeniu na rozpoczęcie walki. Wystrzał z pistoletu był umówionym znakiem.

Ałłah, Ałłah!—krzyk ten z hukiem kilkunastu strzelb zmieszany, rozpoczął bitwę. Z szybkością piorunu wpadły obadwa hufce do wnętrza areny, a krzywe szable po nad głowami walczących świeciły jak błyskawice wśród kurzu, piasku i dymu. To już nie udany pojedynek lecz bitwa prawie na dobre, chodzi bowiem o to, które z plemion beduinów odniesie zwycięztwo. Zapał walczących wzmaga się z każdą chwilą a częste strzały, chrzęst broni i okrzyki tłumu podżegają chęć do walki. Hufce, które z początku w zbitej masie walczyły, rozdzie-

(¹) Arabska fantazya bez wystrzałów obejść się nie może „niech proch gada" co chwila powtarzają dając salwy.

lają się powoli, pojedyńczy jeździec harcuje z przeciwnikiem. Strzały i okrzyki co chwila się powtarzają, jeźdźcy w całym pędzie koni z rozpuszczonemi na wiatr burnusami, z wzniesionemi szablami przebiegają arenę, rozjuszone ich rumaki cwałują z wyciągniętą szyją i starają się w biegu pochwycić przeciwnika i tym sposobem ułatwić zwycięztwo ich panu. Tu wszystko od zręczności i instynktu konia zawisło, jeździec bowiem porzucił cugle, w prawej ręce trzyma szablę, a w lewej długą strzelbę, która mu za tarczę służy.

Napróżno starałem się pochwycić szczegóły walki, lecz ani sposobu; wznoszące się co chwila tumany piasku i kurzu oraz szybkość z jaką jeźdzce ich ewolucye odbywali, nie pozwoliły mi zwrócić stałej uwagi na pojedyńcze epizody tej zajmującej fantazyi. Całe pół godziny, przez które walka trwała, byłem jak pod wpływem najdziwaczniejszej fatamorgany, a gdy na powtórny wystrzał z pistoletu, beduini jakby zaklęci z areny znikli, zaledwie mogłem sobie zdać sprawę z tego co widziałem. Zwycięztwo pozostało nierozstrzygniętem, obadwa plemiona bowiem walczyły z równem męztwem i zaciętością.

Po ochłodzeniu się sorbetem i wypaleniu kilku fajek udaliśmy się ku domowi, gorąco bowiem było niesłychane i chęć posiłku na wszystkich twarzach się malowała.

Już na krańcach placu, w pobliżu domu szeika, Antonin zwrócił mą uwagę na liczne koło widzów, wśród którego kilkunastu murzynów, po największej części ze szczepu Dinka, narodowe tańce wykonywało. W pośrodku na pewnym rodzaju kozła był ustawiony bęben w który murzynka z entuzyazmem godnym lepszej sprawy rękami uderzała tupiąc przytem nogami i zachęcając tańczących ochrypłym głosem. Obok, wysoki murzyn z podwójną piszczałką z trzciny, dobywał tak śliczne tony pełne smętku, jak gdyby od Orfeusza muzyki się uczył.

Para ta tworzyła nader komiczny kontrast; murzynka szczupła, nizka—skóra i kości tylko, a on olbrzym z herkulesową piersią i barami, i jeżeli pierwsza od siedmiu chudych krów Faraona ród swój zdawała się wywodzić, to towarzysz jej bez wątpienia od owych tłustych pochodzić musiał.

Uzbrojeni w krótkie maczugi murzyni biegli wokół jeden za drugim uderzając takowemi w takt bębna i powtarzając wykrzyk uch, uch! który najzupełniej chrząkanie hipopotama przypominał. Opuściwszy wreszcie ten corps de ballet środkowej Afryki, pośpieszyliśmy wprost do domu, gdy po lekkim posiłku wprowadzono nas do łaźni, którą każdy bogaty Arab w swym domu utrzymuje.

Po zostawieniu sukien w małym przedpokoju, olbrzymi murzyn niewolnik opatulił mnie całego prześcieradłem i wziąwszy na ręce wniósł do izby kąpielowej, gdzie już i mego przyjaciela w ten sam sposób przyprowadzonego na kamiennej ławie spostrzegłem. Położywszy mię na drugim końcu ławy i zaleciwszy najzupełniejszą nieruchomość, rozkazał ów dozorca kilku swym pomocnikom wylewać wiadra wody na rozpalone kamienie. Tumany gorącej pary napełniwszy salę, sprawiły duszność nie do wytrzymania. Zlani potem i zaledwie dysząc, zrywamy się dla opuszczenia tego madejowego łoża, lecz żylaste ramiona służących trzymają nas jak w kleszczach. Napróżno mój towarzysz rozpoczyna układy z naszym katem, prośby, obietnice bakszyszu, nic nie pomogło; zniecierpliwieni zaczynamy w końcu na prawdę się gniewać, łajać, lecz o zgrozo! niewolnik ów z najzimniejszą krwią, którą nie wiem jak mógł utrzymać w łaźni gorącej jak w piekle, pozarzucał nam prześcieradła na głowy i tym prostym sposobem do milczenia i spokoju zmusił. Co było robić? „Ałłah kerim” westchnąłem sobie i spokojnie jak mysz zmokła w mych powijakach leżałem.

Przez blizko pół godziny trzymali nas ci barbarzyńcy w tej niebardzo wygodnej pozycyi, wreszcie ujęci naszem poddaniem się ich woli, pozrzucali z nas prześcieradła.

Dwa olbrzymie uf! jednocześnie z naszych piersi się wydobyły; już chciałem w hymn dziękczynny uderzyć i me łoże boleści opuścić, gdy wtem zjawia się trzech służących a każdy z nich trzyma jakiś przedmiot w ręku, który przy słabem oświetleniu łaźni zdawał się być przyrządem torturowym. Podzieliłem się tą myślą z Antoninem, lecz ten słabym i zmęczonym głosem odrzekł.

— Na teraz wszystko mi jedno, czy tak czy owak, wiem, że żywi z ich rąk się nie wydobędziemy.

Bez ducha już prawie oddałem się mym katom.

Przewróconemu na twarz rozpoczął jeden ze służących rodzajem zgrzebła ([1]) tak silnie plecy nacierać, że zdawało się iż mi wszystką skórę z ciała zedrze. Równocześnie drugi z nich namydlał zdrapane członki mydłem, w którem piasek i kamyczki zapewne najgłówniejszą grały rolę, a trzeci z olbrzymiej kamiennej konwi wylewał na mnie potoki gorącej wody i obcierał wiązką włókien palmowych, których łagodne dotknięcie skórę jeża mi przypominało.

Pomimo tych przykrych operacyi, byliśmy cicho, bo widok nieodstępnego dozorcy z olbrzymią serwetą w ręku, napawał nas trwogą i mimowoli usta zamykał.

W głębi ducha jednak przeklinałem Mahomeda i koran, który podobną kąpiel uważa za zbawienną nietylko dla ciała lecz nawet i dla ducha ludzkiego.

Po ukończeniu tej drugiej części kąpielowych tortur pławiono nas jeszcze chwilę w maleńkiej sadzawce, następnie zawiniętych w świeże prześcieradła i namaszczonych pachnącym balsamem i różnemi olejkami, wprowadzono do małej przybocznej stancyi, gdzieśmy się na obszernych miękich dywanach poukładali.

Spojrzawszy jednak na mego przyjaciela, mimowoli w głos się roześmiałem, w czem i on mi z całego serca wtórował, wyglądaliśmy obydwa bowiem jak gotowane raki.

Po krótkiej chwili zjawił się służący z kawą i fajkami. Pijąc tedy wyborną mokkę i otaczając się kłębami wonnego dymu, zapomnieliśmy po trochu o przebytych cierpieniach. Lecz o niestałości ludzkiego losu! Niedługo potem wszedł dozorca łaźni w własnej osobie i po dowiedzeniu się o stanie naszego zdrowia, — co bardzo na drwiny zakrawało, rozpoczął własnoręcznie ostatnią kąpielową operacyą, polegającą na wyciąganiu stawów u rąk i nóg i łamaniu kości. Tu już z bólu wytrzymać nie mogliśmy, lecz na nasze wykrzyki: powoli! dosyć! jedynie „malesz”, „malesz” ([2]) łagodnie odpowiadał, nie przestając jednakże odbywać z nami ćwiczeń gimnastycznych, jak gdyby dyrektorem cyrku się urodził. Lecz i ta operacya najboleśniejsza ze wszystkich przecież się skończyła i nasz dręczyciel odszedł zostawiając nas w stanie jak to powiadają, jakby z krzyża zdjętych.

Balwierzowi, którzy niedługo z brzytwą i grzebieniami się zjawił, o mało mój towarzysz karku nie nakręcił, lecz usłyszawszy, że tylko o nasze fryzury chodziło, uspokoił się wreszcie i oddał swą głowę pod nożyczki i brzytew. Po podgoleniu nam włosów na sposób turecki i obcięciu paznokci pozbyliśmy się w końcu balwierza i opuścili łaźnię udając się do sypialnej sali dla odpoczynku, którego, proszę mi wierzyć, bardzośmy potrzebowali.

(D. n.)

([1]) Rękawica ze skóry wielbłąda sierścią na wierzch obrócyna.

([2]) Nic nie szkodzi.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

XLIV.

Ślub in extremis.

Jak tylko doktor wyszedł, Helena wlała Karolowi w usta łyżeczkę kordyału, a Benedykt zadzwonił na służącego.

Hans przybiegł natychmiast.

— Idź przyprowadź księdza, rzekła Helena.

— Czy aby udzielił Ostatnie Namaszczenie? zapytał nieśmiało.

— Nie, aby dał nam ślub, odrzekła.

W kilka minut potem wszedł doktór z narzędziami.

— Zadzwoń pan, rzekł do Benedykta.

Benedykt spełnił polecenie; weszła panna służąca.

— Proszę o ciepłą wodę i głębokie jakie naczynie, oraz o termometr, rzekł doktor.

Wróciła niebawem przynosząc żądane przedmioty. Doktor wyjął z kieszeni bandaż i otoczył nim lewe ramię chorego, gdyż ponieważ w prawej była rana, więc krew należało zastrzyknąć w lewą.

Po kilku chwilach żyła nabrała, co dowodziło, że krew niezupełnie była wyczerpaną i odbywało się choć słabe krążenie. Doktor zwrócił się do Heleny, mówiąc:

— Czy pani gotowa?

— Tak, odrzekła, ale, przez litość śpiesz się pan — mógłby umrzeć.

Doktor ścisnął bandażem rękę Heleny, umieścił na łóżku narzędzie jak najbliżej rannego, zanurzył je w wodzie ogrzanej do 35 stopni, aby krew nie miała czasu zastygnąć, zanim przejdzie z jednego ramienia do drugiego. Odsłonił najbardziej nabraną żyłę na ręku Karola i jednocześnie przekłół żyłę ręki Heleny, z której krew spadała do przyrządu. Gdy uznał, że uszło jej 120 do 130 gran, skinął na Benedykta, aby nacisnął palcem przekłutą żyłę Heleny, i naciąwszy podłużnie krwionośne naczynie na ręce Karola, wprowadził doń koniec przyrządu, który przycisnął lekko, bacząc uważnie aby najmniejsza cząstka powietrza nie dostała się do krwi.

Cała operacya trwała dziesięć minut; skończyła się właśnie, gdy drzwi się otworzyły i ukazał się w nich ksiądz w towarzystwie pani von Beling, Emmy i służby domowej. Helena odwróciła głowę

i skinęła aby weszli. Pierwej już doktor obandażował jej rękę.

Wtem Karol drgnął lekko; zdawało się, że słaby dreszcz przebiegł całe jego ciało.

— Ach! dzięki Ci Boże miłosierdzia! to krew moja dochodzi do jego serca!...

Kapłan zbliżył się do niej. Był to jej spowiednik od lat dziecinnych.

— Przyzwałaś mnie, córko moja, rzekł do niej.

— Tak, ojcze, odrzekła Helena; chciej dać mi ślub z tym narzeczonym moim, który za łaską Bożą otworzy oczy i odzyska przytomność. Babka i siostra moja nie sprzeciwiają się temu... Tylko trzeba się śpieszyć, gdyż omdlenie powrócić może.

Jak gdyby czekając tylko tej chwili do odzyskania przytomności, Karol otworzył oczy, spojrzał czule na Helenę i rzekł słabym, ale zrozumiałym głosem:

— Pomimo omdlenia miałem przytomność i słyszałem wszystko; jesteś aniołem, Heleno; i ja wraz z tobą proszę twej babki i siostry, aby mi pozwoliły zostawić ci moje nazwisko.

Benedykt i doktor spojrzeli na siebie; dziwiło ich podbudzenie, przywracające na chwilę Karolowi wzrok i mowę.

Kapłan zbliżył się do łoża, mówiąc:

— „Wspomożenie nasze w Imieniu Pana, który stworzył niebo i ziemię.”

Poczem zapytał Karola:

— Czy masz dobrą a nieprzymuszoną wolę i postanowiony umysł, tę Helenę, którą tu przed sobą widzisz, za małżonkę sobie pojąć?

— Mam, odrzekł słabym głosem.

— Czy nie ślubowałeś komu wiary małżeńskiej?

— Nie.

Następnie zwracając się do Heleny, powtórzył też same pytania; odpowiedziała głośno i wyraźnie.

— Niechaj Bóg pomnaża was w łaskę swoją, abyście to co teraz usty wymawiacie, wykonali uczynkiem, przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Karol uśmiechnął się smutnie, słysząc te słowa postanowione dla ludzi mających przed sobą długą przyszłość.

Kapłan związawszy ich ręce stułą, od obojga odebrał przysięgę małżeńską, poczem rzekł:

— Co więc Bóg związał, człowiek rozwiązać nie może, a przeto małżeństwo między wami zawarte, ja powagą Kościoła potwierdzam i błogosławię. Niechaj błogosławieństwo Wszechmocnego Boga Ojca, Syna i Ducha Św. zstąpi na was i wiecznie z wami przebywa. Amen.

Poczem odmówił przepisane rytuałem modlitwy.

— Ojcze mój, rzekł słabym głosem Karol, zwracając się do kapłana, do tych błogosławieństw i modlitw za męża, dołącz rozgrzeszenie dla umierającego, który szczerze żałuje za winy jakie mógł popełnić, a ostatnie pragnienia moje ziszczone będą.

Skupiwszy ducha, kapłan wzniósł rękę ku niebu, wyrzekł sakramentalne słowa: *Absolvo te*, poczem dodał:

— Idź duszo chrześciańska, w Imię Wszechmogącego Boga, który cię stworzył, w Imię Jezusa Chrystusa, który cię odkupił, Ducha Św., ktory cię poświęcił; idź w imię aniołów i wszystkich świętych.

I zdało się jakby dusza Karola czekała tej uroczystej chwili, aby opuścić ciało,—Helena, która wsparła głowę jego na swojem ramieniu, zasłaniając go, aby nie słyszał ostatnich słów kapłana, uczuła się pociągnięta ku niemu nieprzepartą siłą: usta jej złączyły się z ustami umierającego męża, który zdołał jeszcze wyszeptać:

— Bywaj mi zdrowa, żono ukochana; krew twoja stała się moją; żegnam cię!

Ostatnie jego tchnienie uleciało na ustach Heleny, poczem martwy opadł na poduszki.

Głośne łkanie wydarło się z piersi Heleny; wznosząc ręce ku niebu zawołała:

— Boże i Ojcze! przyjm nas do siebie przez nieograniczone miłosierdzie Twoje!

I bezwładna padła na martwe zwłoki Karola, co dało poznać obecnym, że już żyć przestał.

Wszyscy obecni, którzy klęczeli do tej chwili, powstali. Emma rzuciła się w objęcia Heleny, wołając:

— Teraz podwójnie jesteśmy siostrami, krwią i cierpieniem!

Czując, że tak bezmierna boleść potrzebuje samotności, wszyscy z kolei powychodzili cicho i powoli, zostawiając Helenę samą przy zwłokach męża.

Po upływie dwóch godzin, Benedykt zaniepokojony, zapukał lekko do drzwi, mówiąc:

— Siostro, to ja!

Helena, btóra zamknęła się w pokoju, otworzyła mu; jakież było jego zadziwienie, gdy ją zobaczył ubraną w ślubny ubiór. Miała na sobie białą suknię, wieniec z białych róż na głowie, perłowe kolczyki i takiż kosztowny naszyjnik. Ręka, z której popłynęła krew, dzięki której, umierający zmartwychwstał chwilowo, pokryta była bransoletami. Długi welon koronkowy spadał na suknię; włosy uczesane były nader starannie. Patrząc na nią możnaby myśléć, że ma jechać do kościoła.

— Patrz, przyjacielu, rzekła, chcąc w zupełności spełnić jego życzenie, przywdziałam strój oblubienicy.

Spojrzał na nią smutnie, tem smutniej, że nie płakała tylko uśmiechała się; zdawałoby się, że wypłakawszy wszystkie łzy nad żywym, zbrakło jej ich dla umarłego. Benedykt patrzył z zadziwieniem widząc jak chodziła po pokoju zajęta tysiącznemi drobnostkami mającemi związek z pochowaniem zwłok Karola. Co chwila pokazywała mu jakiś nowy przedmiot:

— Patrz, mówiła, to on lubił, włożemy to do jego trumny... A! zawołała, byłabym zapomniała o włosach moich, które tak bardzo lubił...

I rozpinając warkocz obcięła go i złożyła na sercu Karola.

Nadszedł wieczór. Długo rozmawiała z Benedyktem o pogrzebie i godzinie w której się miał odbyć. Była zaledwie piąta po południu; prosiła aby oszczędzając tak boleśnych zajęć rodzinie sam zarządził pogrzeb i kazał przygotować obszerny grób.

— Dlaczegoż obszerny? zapytał.

— Zrób o co proszę, przyjacielu, a błogosławić cię będę.

Sama wydała szczegółowe rozporządzenia co do pogrzebu Karola. Benedykt we wszystkiem zastosował się do nich. Było to dla niego nader bolesne zajęcie, ponieważ Fryderyka i Karola kochał jak braci.

Nareszcie załatwiwszy wszystko, powrócił z miasta o jedenastej, i zaraz udał się do pokoju Heleny zamienionego w pogrzebową kaplicę.

Wokoło łóżka, na którem spoczywał zmarły, gorzało kilka rzędów świec woskowych; Helena siedziała na łóżku, zapatrzona w Karola. Nie płakała i nie modliła się — o cóż miała błagać Boga skoro Karol już nie żył?

Od czasu do czasu, podnosiła rękę do ust, całując namiętnie ślubną obrączkę.

Babka i siostra, które długo modliły się za duszę zmarłego, odeszły około północy; zarówno jak Benedykt nie mogły pojąć spokoju Heleny.

Uściskała je smutnie, ale nie zapłakała; prosiła tylko, aby jej przyniesiono dziecię, które chce ucałować. Matka poszła po nie; wziąwszy dziecinę na ręce, Helena długo się w nią wpatrywała, poczem śpiące i uśmiechnięte oddała matce.

Babka i siostra odeszły, została sama z Benedyktem.

— Możesz odejść, kochany przyjacielu, aby wypocząć kilka godzin — o mnie bądź spokojny, położę się przy nim ubrana, aby się przespać.

— Przespać? zapytał z niewymownem zadziwieniem.

— Tak, odrzekła spokojnie, czuję się bardzo znużoną. Dopokąd żył, nie sypiałam, teraz...

Nie dokończyła.

— O której mam przyjść jutro?

— O której chcesz, przyjacielu, może po ósmej.

Otwartem oknem spojrzała na niebo, mówiąc:

— Zdaje się, że dziś w nocy będzie burza.

Benedykt uścisnął jej dłoń i odszedł, ale go przywołała.

— Czy wydałeś wszelkie rozporządzenia odnośnie do pogrzebu?

— Tak, odrzekł; łzy głos jego tłumiły.

Po zmianie głosu Helena odgadła co cierpiał.

— Uściskaj mnie, przyjacielu, rzekła.

Przycisnął ją do serca i głośnym wybuchnął płaczem.

— Tak jesteś wzruszony, rzekła; patrz jak on jest spokojny; zdawałoby się, że jest szczęśliwy.

Chciał coś powiedziéć, przerwała mu, mówiąc:

— Odejdź już, przyjacielu, do jutra.

XLV.

Wotum Heleny.

Jakto przewidziała Helena, noc groziła burzą, która wybuchła nad ranem. Deszcz lał strumieniami; niebo nieustanne przerzynały błyskawice, zapowiadające lub sprawiające wielkie klęski.

O szóstej rano przyszły kobiety mające zająć się ubraniem zmarłego. Helena przygotowała wszystko. Poczem, jak to powiedziała Benedyktowi, położyła się przy zmarłym na łóżku otoczonem kilkoma rzędami gorejących świec jarzęcych, i zasnęła twardo, jakby snem śmierci. Obudziły ją wchodzące kobiety.

Zobaczywszy je, przedstawiła jej się materyalna strona śmierci, i zaczęła płakać.

Jakkolwiek nieszczęsne te kobiety, żyjące z usług oddawanych zmarłym, żadnego zwykle nie mają czucia, te jednak zobaczywszy tę młodą kobietę, tak piękną, tak ustrojoną i tak bladą, nie mogły oprzéć się wzruszeniu jakiego dotąd nie znały. Prosiły jej, aby wyszła dopokąd nie wyiążą się ze swego zadania.

Helena nie opierała się, przystąpiła do łóżka, ucałowała zmarłego i wyszeptała mu do ucha kilka słów, których żadna z kobiet nie dosłyszała. Poczem rzekła do bliżej stojącej:

— Idę do kościoła Naj. Maryi Panny Bolesnej modlić się za mego męża; zapewnie po ósmej przyjdzie tu młody człowiek imieniem Benedykt, oddasz mu ten list.

I dawszy jej zapieczętowany list pod adresem Benedykta, wyszła.

Burza szalała gwałtownie. Przed drzwiami cze-

kał powóz, Lenhart siedział na koźle. Zadziwił się niewymownie, zobaczywszy ją wychodzącą tak rano w podobnym stroju; powiedziała mu, że idzie do kościoła Matki Boskiej Bolesnej, aby przed jej ołtarzem modlić się za duszę męża.

Jakoż weszła do kościoła; tak było ciemno, iż gdyby nie blask błyskawić rysujących się wężykowato na kamiennej posadzce, nie możnaby dojrzéć gdzie się obrócić.

Helena zwróciła się wprost do kaplicy w której zwykła się modlić. W ołtarzu stała statua Naj. Panny, słodka, uśmiechnięta, przybrana w złote tkanki i drogie klejnoty, ukoronowana brylantową koroną. U stóp statui leżała jeszcze wiązanka białych róż, położona tam przez Helenę w dniu w którym przyszła tu z Karolem przysiądz mu, że zawsze kochać go będzie, a jeźliby żyć przestał, umrze z nim razem. Poznała swoje kwiaty.

Nadszedł dzień dotrzymania przysięgi i przyszła pochlubić się przed Naj. Panną iż dotrzymuje przyrzeczenia, nie pojmując, że jest ono bezbożnem i grzesznem. I jak gdyby to tylko miała do powiedzenia, zmówiła krótką modlitwę, ucałowała stopy Bogarodzicy i opuściła kaplicę.

Przejaśniało nieco. Przez chwilę deszcz ulewny ustał; błękitny obłoczek wysunął się jakby z pomiędzy dwóch olbrzymich i ponurych powiek. Powietrze przesycone było elektrycznością. Grzmoty nie ustawały; błyskawice rzucały sinawe odblaski na domy i bruk ulic.

Helena wyszła z kościoła. Lenhart podjechał z powozem, aby raczyła wsiąść.

— Duszno mi, rzekła, chcę przejść się trochę.

— Pojadę za panią.

— Jak chcesz, odrzekła.

Otoczyli ją ubodzy stojący przed kościołem, których zawsze opatrywała jałmużną. Sięgnąwszy do kieszeni, wyjęła i rozdała im kilka sztuk złota, nie zatrzymując się wcale. Obdarzeni patrzyli na złoto z zadziwienieniem; sądzili że ofiarodawczyni omyliła się dając złoto zamiast srebrnej drobnej monety, i rozbiegli się prędko, z obawy, aby poznawszy omyłkę, nie zażądała zwrotu.

Inni nie wiedzący jak hojną rzucała jałmużnę, podchodzili do niej, życząc powodzenia i szczęśliwego pożycia młodej i pięknej pannie młodej; nie słyszała co mówią i idąc ciągle, równie hojnym obdarzała ich datkiem.

Gdy zapuściła się w wązkie uliczki prowadzące do mostn Sachsenhausen, cisnął się do niej coraz liczniejszy poczet żebraków. Rozdawszy wszystko złoto jakie miała przy sobie, zaczęła rozdawać bogate klejnoty, powtarzając tylko każdej matce, każdemu bezsilnemu starcowi, każdemu dziecku niepojmującemu nawet wartości otrzymanego klejnotu:

— Módl się za nas!

Pytającym o imiona osób, za które modlić się mieli, odpowiadała:

— Bóg je zna, On będzie wiedział, że modlicie się za nas!

Tak z kolei zdejmowała z siebie bransolety, kolczyki, naszyjniki, które połamała na trzy czy cztery części, potem jeden po drugim wszystkie pierścionki, wyjąwszy ślubnej obrączki.

Do około niej szeptano:

— Biedna waryatka!

Mimo to z właściwem ubóstwu samolubstwem, nie pytając czy ma zdrowe, czy pomieszane zmysły, brano wszystko co rozdawała, oddalając się natychmiast, jakby złodzieje uciekający ze skradzionemi klejnotami.

Doszedłszy do mostu Sachsenhausen, nie miała już nic, ani złota ani klejnotów.

U stóp posągu Karola Wielkiego siedziała biedna jakaś kobieta, z chorem dzieckiem na ręku, i wyciągnęła do niej rękę. Helena zaczęła szukać a nie znalazłszy już nic, zdarłszy z głowy koronkową zasłonę, rzuciła ją biednej matce.

— A na cóż mi to, proszę pani, zapytała biedna.

— Sprzedaj to, dobra kobieto, welon ten wart tysiąc franków.

Kobieta myślała z początku że z niej żartowała, ale przypatrzywszy się kosztownej koronce, zaczynała wierzyć w prawdę słów Heleny, i zerwawszy się pobiegła ku Frankfurtowi wołając:

— Boże wielki! jeźli to prawda!...

Zostawszy samą, Helena zbliżyła się do parapetu, weszła na ławkę, owinęła suknię w około nóg, i zawołała wznosząc oczy ku niebu:

— Panie! rozłączyłeś nas dlatego tylko, aby nas ściślej połączyć, — dzięki Ci Ojcze miłosierdzia!

Poczem rzuciła się w rzekę, wołając:

— Karolu, idę do ciebie!...

Ósma wybiła na miejskim zegarze, gdy Benedykt wchodził do pokoju Heleny.

Obie kobiety modliły się przy ciele, ale Heleny nie było.

Benedykt obejrzał się po pokoju, myśląc że modli się gdzie w kącie; nie dostrzegłszy jej nigdzie, zapytał czy nie wiedzą gdzie poszła.

Jedna z kobiet odpowiedziała:

— Wyszła przed godziną, mówiąc że idzie modlić się w kościele Naj. Panny Bolesnej.

— Jakże była ubrana, i... czy nie zostawiła dla mnie jakiego zlecenia? zapytał miotany niespokojnem jakiemś przeczuciem.

— A czy pan się nazywa Benedykt? zapytała ta, która odpowiadała już na jego pytania.

— Tak, odpowiedział.

Wtedy podała mu list pod jego adresem. Rozdarłszy prędko kopertę; przeczytał co następuje:

„Bracie mój i przyjacielu!

Przyrzekłam Karolowi przed ołtarzem Matki Boskiej Bolesnej, że go nie przeżyję, — on umarł, ja żyć nie chcę.

Jeźli znajdą moje ciało, tobie polecam, aby złożone było w jednym grobie z Karolem. Dlatego właśnie prosiłam cię, aby grób był obszerny.

Mam nadzieję, iż Bóg dozwoli abym do końca wieków spoczywała w nim obok Karola.

Przeznaczam 1000 fr. temu kto wynajdzie moje ciało, jeźli to jaki biedny rybak, wioślarz lub ojciec rodziny; jeźli będzie to ktoś, coby nie przyjął nagrody, przekazuję mu ostatnie moje błogosławieństwo.

Żegnam wszystkich co mnie kochali.

Helena."

Benedykt kończył czytać, gdy wpadł do pokoju Lenhart blady i przemokły do nitki, wołając:

— A! co za okropne nieszczęście, panie Benedykcie: pani Helena rzuciła się w fale Menu!... pójdź pan co prędzej.

Benedykt obejrzał się po pokoju, porwał leżącą na krześle chusteczkę od nosa, przesiąkłą łzami i woniejącą ulubionem pachnidłem Heleny, i wybiegł za Lenhardtem.

Wpadłszy do jego stojącego przed domem powozu, zawołał:

— Jedź do siebie!

Nawykły być posłusznym Benedyktowi, nie żądając objaśnień, zaciął konie i popędził do domu, który był po drodze jadąc do rzeki. Gdy stanęli przed drzwiami, Benedykt wyskoczył, jednym tchem przebiegł schody i wpadłszy na pierwsze piętro, zawołał:

— Fryga, tu!

Pies wyleciał z pokoju i jednocześnie wskoczył do powozu.

— Nad rzekę! krzyknął Benedykt.

Lenhardt zaczynał teraz pojmować i popędził galopem. W ciągu drogi Benedykt zrzucił z siebie zwierzchnie ubranie i kamizelkę; gdy dojechali na wybrzeże, zastał wioślarzy probujących wyciągnąć zakrzywionemi hakami ciało Heleny.

— Czy widziałeś jak wskoczyła do rzeki? zapytał Lenhardta.

— Tak, jaśnie panie.

— Zkąd się rzuciła?

Lenhardt wskazał miejsce.

— Dwadzieścia florenów za łódź! krzyknął Benedykt.

Przewoźnik jakiś podpłynął natychmiast. Benedykt wskoczył do łodzi, Fryga za nim.

Stanąwszy z łodzią w kierunku w którym Helena znikła w nurtach rzeki, kazał płynąć z biegiem wody trzymając za kark Frygę i dając mu węszyć chustkę wziętą z pokoju Heleny.

Gdy dopłynęli do pewnego punktu, Fryga zawył ponuro; Benedykt go puścił.

Pies rzucił się do wody i znikł w jej głębiach. Wypłynął prawie natychmiast, pływając w jednem miejscu i wyjąc żałośnie.

— Jest tam! krzyknął Benedykt i z kolei rzucił się w rzekę.

Po upływie kilku sekund wypłynął na wierzch, trzymając martwe zwłoki Heleny.

Zgodnie z jej żądaniem, zwłoki jej złożono w jednym grobie z Karolem.

Wysuszono na niej ubranie ślubne i w niem pochowaną została.

(D c. n.)

Co jest miłem?

Miło spojrzéć, gdy na wiosnę,
Zielenieją łąki w koło —
I szczebioty ptasząt głośne,
Rozlegają się wesoło!

Miło wśród skwarnego lata,
Gdy już słonko na zachodzie —
Zdala gwaru, zdala świata,
Dumać w duchowej swobodzie!...

A gdy jesień w upominku,
Niesie z sobą chłód i słotę —
Miło usiąść przy kominku,
I snuć marzeń nitki złote!...

Miło chłopcu, gdy dziewczyna —
Rzuci nań miłości wzrokiem,
I o wszystkiem zapomina,
Pędząc myśli za obłokiem!...

Po nad zdrojem w cieniu drzewa,
Ach jak miło jest poecie...
Słuchać co mu słowik śpiewa,
I o szczęściu śnić jak dziecię!

Miło także i kokietce, —
Gdy rój mężczyzn za nią chodzi;
Miło także i żoneczce, —
Gdy mężulka za nos wodzi!...

Lecz najmilej na tej ziemi,
Kochać ludzi sercem całem,
I w jedności zlać się z niemi, —
To jest życia ideałem!

Kijów.

Kazimierz Lechnicki.

KILKA SŁÓW

O PISMIENNICTWIE CZESKIEM.

Od niejakiego czasu w społeczeństwie naszem coraz żywsza objawia się sympatya dla Czechów i dla wszystkiego co się do nich odnosi. Nie tu miejsce badać powody tego objawu, ani tez o ile jest on usprawiedliwiony, możemy tylko własne wypowiedzieć zdanie: że takie zbliżenie się pobratymczych szczepów uważane być może za rzecz bardzo naturalną w epoce, której cechą jest zbliżenie się i łączenie bratnich ludów, z czego tylko wzajemna korzyść może być osiągniętą. W tym celu nie możemy jednak poprzestać na wiadomościach politycznych z Czech, na częstych lecz ogólnikowych i powierzchownych korespondencyach z Pragi, na tytułach powieści naszych, które znalazły zdolnych czeskich tłomaczy; przyjrzyjmy się jeszcze zblizka tym pobratymcom naszym, poznajmy ich, że tak powiem w domu, u siebie, robiąc przegląd ich literatury i dziennikarstwa. W nich się odbija charakter, usposobienie narodu, jego wewnętrzne dążności, stopień wykształcenia, gust publiczności, oraz szybki umysłowy rozwój, który nigdzie może nie jest tak widocznym jak w Czechach. Mamy nadzieję, że niejeden podzieli zajęcie jakie w nas samych budzi zapoznanie się z piśmiennictwem czeskiem, będącem obecnie jakby odbiciem tego co się u nas przed laty działo; a że i język podobną idąc koleją, stara się pozbyć form niektórych dawno już u nas zarzuconych, możnaby Czechów porównać do młodszego brata, który spiesznemi krokami za starszym podąża. Ale jeżeli my przodujemy im w urobieniu języka, w bogactwie literatury—oni nam mogą służyć za wzór mrówczej pracy, skrzętności i wytrwałości; chcąc jednak z tego wzoru korzystać, trzeba mu się z blizka i w skutkach jego przypatrzyć. Kto wie czy niejedno dałoby się z korzyścią na grunt nasz przenieść, do potrzeb naszych zastosować. Lecz o tem później kiedy obszerniej pomówimy, a teraz jeszcze i tę korzyść zaznaczę, że może nie jeden pesymista, który teraz przez tak czarne okulary na społeczeństwo nasze spogląda, przez porównanie przekona się, że jednak u nas tak źle nie jest, i że kiedyśmy dotąd zaszli gdzie jesteśmy, to jeszcze dalej pójdziemy, byleby nie gonić za gwałtownemi przeskokami, gdy tyle jest jeszcze do zrobienia na polu wewnętrznego rozwoju. Czech nie nawołuje do pracy dla ogółu w znaczeniu ludzkości całej, on widzi, że ten ogół ciaśniejszy, bliżej go obchodzący, także jej potrzebuje; on rozumie, że pracując dla niego wiąże ogniwo wielkiego łańcucha postępu i cywilizacyi, a pomijając go, utworzyłby lukę niczem później nie zapełnioną. Im silniejsze swiatło tem szersze obejmuje kręgi; promienie jego dosięgną i innych, byleby swoim jasno było. Może podobne przekonanie nazwie kto zasklepieniem się w sobie, w każdym razie będzie to zasklepienie się godziwe, a nawet konieczne potrzebne dla narodów, które nie osiągnęły jeszcze stopnia swej dojrzałości. I daj nam Boże tak wysoko ideał naszej dojrzałości oznaczyć, abyśmy do niego długo jeszcze dążyli, bo taka droga to życie i zdrowie. Spójrzmy tylko na przegląd literacki czasopisma *Kvety*, jaka to oględność krytyki, jakie staranie w podniesieniu wszystkich dobrych i wybitniejszych stron danej książki, nie ze złością, nie ze zjadliwością, lecz zdaje się jakby z miłością, z tkliwością, wykazuje ona błędy i usterki. A jednak obok kilku utalentowanych pisarzy, ile to miernot i tu się znajduje; ale niech tylko myśl narodowa, jak żyłka złota, zabłyśnie w utworze, znajdzie on przyjęcie i pobłażliwość. Tegoby nam już trudno naśladować, bo gust publiczności naszej więcej wyrobiony, nietylko już myśli lecz i formy żąda; ale uczmy się od Czechów gorąco kochać wszystko co swoje, a kochając prawdziwie rozsądnie, jedni unikną chwilowych zachwytów dla wielkości jednodniowych, przesadzonych pochwał dla *obiecujących*, bezwzględnych hołdów dla błyszczących piórem i wymową, a drudzy uznają pracę cichą, swojską i zasługi nie będą mierzyć na miarę rozgłosu po za obrębem kraju.

Zaczniemy przegląd od *Kvetuv* (kwiatów), miesięcznika literackiego, który tak treścią jak i zewnętrzną swoją wartością pierwsze miejsce pomiędzy belletrystycznemi czasopismami zajmuje. Trudno określić któremu z naszych pism *Kvety* odpowiadają, najprędzej „Bibliotece Warszawskiej", z tą jednak różnicą, że dział powieściowy jest tam obficiej przedstawiony i że nieliczne ale staranne drzeworyty ozdabiają *Kvety*. W trzech numerach ostatniego kwartału spotykamy się z pięciu powieściami w każdym numerze, z tych dwie zawsze jest tłumaczonych. Długa powieść Bałuckiego „Góral na równinach", pomniejsze francuzkie i jedna z hiszpańskiego. Z oryginalnych zaś: *Boure zivota* (Burze żywota) Sew. Hellera; *Moudrejsi ustoupi* (Mędrszy ustąpi) humoreska Kosteleckiego; *Samota* (Samotność) idylla Dunowskiego i *Na stare Poste* (Na starej poczcie) opowiadanie Aloizego Iraszka.

Jest to jedyna powieść z tych czterech na uwagę zasługująca; *Boure zivota*, jako na tle nie naszem osnuta, mało nas w tym razie zajmują, *Moudrejsi ustoupi*, jest drobnotką nieposiadającą żadnej odrębnej cechy, a wreszcie *Samota* jest tak nudną i bladą idyllą, że jej nawet nie ratuje pewien odcień komizmu na który się autor sili. *Na stare Poste*, pisane jest z prostotą właściwą pisarzom czeskim, nie ma w niej żadnego powieściowego zawikłania, żadnych scen dramatycznych lub za efektem goniących.

Przesuwa się przed oczyma czytelnika kilka skromnych postaci, działających w bardzo powszednim zakresie życia, znajduje się jednak wśród nich parę wybitniejszych charakterów, serc gorejących lecz skrępowanych obowiązkami lub wolą starszych. Do tego rzecz się odbywa w przeddzień 1848 roku gdy idea narodowości czeskiej świtać zaczynała, i rozegrywa się w skutek wypadków w tymże roku zaszłych. Widzimy, że sama treść nie jest bez pewnego zajęcia, przytem z prawdziwym talentem opisani są mieszkańcy starej poczty, rodzina pana Szafranka i to ciche, jednostajne życie, do którego tak przywykają ludzie mieszkający na wsi lub po małych miasteczkach. I tu jednak możnaby zarzucić pewną, że tak powiemy, bladość kolorytu; główne postacie pana Iraszka są tylko jako szkicowane, nie mamy sposobności zapoznać się z niemi bliżej, wiemy przez autora, że myślą, pragną, cierpią, lecz ich własne działanie jest prawie biernem. Wogóle nie dostrzegamy w powieściach czeskich tej subtelnej analizy charakterów, do której jesteśmy przyzwyczajeni i bez której nie rozumiemy powieści w jej poważniejszem zadaniu. Ztąd wnosić wypada, że Czesi są jeszcze narodem młodym, świeżym, nieprzesyconym wrażeniami, dla którego prostota wdzięk swój zachowała i który dla umysłowej swej rozrywki nie potrzebuje gwałtownych scen i nadzwyczajnych sytuacyi.

Ulubionym jednak rodzajem Czechów jest powieść historyczna i ma też ona licznych przedstawicieli, jak to widzimy z przeglądu literackiego w każdym numerze *Kvetuv* pomieszczonego. Pierwszorzędnymi wśród nich są: Benesz Trzebizski, Iwaszek K., Svetla, Szubert i Herold.

Prócz pojedyńczych historycznych powieści, które ciągle z pod pióra tych autorów wychodzą, wydawana jest „Tania biblioteka narodowa", ukazująca się zeszytami i zawierająca tak formą jak i treścią wyborowe utwory czeskich powieściopisarzy. Dążnością ich, jest rozbudzenie ducha narodowego, przedstawiając minioną świetność lub usiłowania ku odzyskaniu swobody i dawniejszego znaczenia. Taką jest treść powieści *Trnova koruna* (Cierniowa korona) Trzebizkiego i *Na dworze wojewody* Iraszka, że wielu innych wyliczać tu nie będziemy.

Z przeglądu literackiego dowiadujemy się i o innych utworach, które w tym czasie wydane były w Pradze. Historyi teatru narodowego poświęcone zostały aż trzy dzieła: *Dzieje teatru narodowego*, *Pamiątka teatru narodowego* i *Almanach macierzy teatralnej*, wszystkie trzy razem wzięte obejmują wszelkie szczegóły odnoszące się nietylko do gmachu teatralnego, lecz i do sztuki dramatycznej w Czechach, tak dalece, że nawet dzieje teatrów amatorskich nie są pominięte.

Mówiąc o teatrze nie możemy pominąć tragedyi *Lipany* przez Wac. Wlczka, granej na drugiem przedstawieniu w Teatrze Narodowym, gdyż przed uroczystem otwarciem tej narodowej świątyni było parę przedstawień dla zaproszonych i wyborowych widzów. *Lipany* są miejscem bitwy w której poległ Prokop Wielki, ten trzeci męczenik swobód czesk ch i miłości kraju, jak go rodacy nazywają. Wspaniała ta postać, którą podania ludowe od dawna urokiem poezyi otoczyły, świetnie wyszła z pod pióra poety. Nie zaniedbał on także drobiazgową wiernością oddać tło epoki owej oraz charakter moralny i religijny innych postaci historycznych. Obok Prokopa występuje jako duchowe jego dopełnienie żona jego Blažena.

W miarę budzącego się zamiłowania do wszystkiego co swoje i rozwijania się literatury, wzrasta także w Czechach potrzeba także kosztowniejszych dzieł illustrowanych. Jednem z takich są właśnie: *Grody i zamki czeskie*—illustracye Kar. Liebehera, znanego już korzystnie w szerszych kołach artystycznych, a opisy Aug. Gedlaczka. Książka ta przedstawiająca w formie artystycznej stare pomniki chwały narodowej, stanowi nadzwyczaj miłą pamiątkę dla każdego Czecha. Z tych gru-

zów i ruin omszałych, wieje ku niemu czas świetnej przeszłości, patrząc na nie powiada sobie: „Jakieśmy niegdyś bogaci byli!” a z wiarą w żywotne siły swego narodu, dodaje: „i jeszcze niemi kiedyś będziemy.”

Ogólną uwagę a zarazem szczery poklask zbudził w Czechach świeżo wydany *Kalendarz czesko-żydowski* przez czeskich akademików mojżeszowego wyznania. Ma on na celu rozbudzenie ducha narodowego wśród żydów czeskich i jest pierwszym objawem braterskich i jedności oświeconej ich warstwy.

Z obcych dzieł przyswoili sobie Czesi ciekawą podróż Nordenskiölda uskutecznioną w 1878—1880 r. i wspaniałe dzieło Ebersowa „o Egipcie”.

Obok przeglądu literatury czeskiej, zamieszczony jest także w *Kvetach* przegląd literatury rossyjskiej i bardzo szczegółowy literatury polskiej.

Z tego widzieć możemy jak starannie pobratymcy nasi śledzą za naszym ruchem umysłowym i jak im są znane wszystkie nasze pisma i książki.

Sprawozdawca tego działu w *Kvetach*, Otokar Mokry, mówiąc z największemi pochwałami o wzniosłych poezyach Konopnickiej, wspomina także o poecie kryjącym się pod pseudonimem Czesława, nazywając go najcelniejszym tłomaczem poetycznych utworów czeskich i o Br. Grabowskim, którego wiersz na otwarcie teatru w Pradze „Sam sobie” w większej części tłomaczy; nie przemilcza też o żadnym większym utworze czeskim przez nas przyswojonym.

Oceniając prawie każdą nową sztukę, która się na scenie naszej ukazała w pierwszych dwóch kwartałach bieżącego roku, z największemi pochwałami odzywa się o dramacie p. Łętowskiego „Izrael na Puszczy” jakoteż o dramacie Sienkiewicza „Na jedną kartę”.

Jakieśmy to wyżej powiedzieli, przeważne miejsce w *Kvetach* zajmuje powieść, spotykamy się tam jednak z kilku poważnemi artykułami wyczerpująco napisanemi. I tak np. studyum nad Beakonsfieldem jako powieściopisarzem, Karola Tumy, najzdolniejszego publicysty czeskiego. Pogląd jego na ministra-literata jest zupełnie oryginalny i nader trafny, nazywa go szczęśliwym awanturnikiem, tak w polityce jak w literaturze, gdyż powieści jego niemające prawie żadnej istotnej wartości, zawsze się rozgłosem cieszyły; rozbiera on krytycznie wszystkie te jego utwory.

Z działu historycznego mamy dwa artykuły: O pismach Tomasza ze Szczytnego, chrześciańskiego rycerza z XIV wieku, i E. Herolda, malownicze przechadzki na pobojowiskach Zyżkowych. Ku tej ostatniej epoce Czesi z miłością ciągle powracają. Jest ona dla nich uosobieniem ich wielkości i swobody. W pojęciach tegoczesnych Hus, Zyżka, Prokop Wielki, przestają być reformatorami religijnymi, a stają się jedynie przedstawicielami idei narodowej. To też obok sumiennych badań historycznych, powieść, dramat i poezya skrzętnie chwytają każdy nowy szczegół o tych ulubieńcach narodu i w coraz świetniejsze barwy je stroją.

Z nauk ścisłych jest tylko poważna i dość obszerna praca d-ra Seydlera: „Tajemnice powszechnego ciążenia”. Z estetyki: „Epos i dramat” U. Hostinskiego, oraz Mir. Tyrsza: „O rzeźbach Sznircha”, zdobiących jeszcze przed trzema miesiącami teatr narodowy. Przedstawiały one dwa wozy tryumfalne trzema wspaniałemi rumakami zaprzężone. Na jednym z nich stała młoda dziewica z gwiazdą na czole i trzymająca wieńce w podniesionej ręce—przedstawiać miała sztukę; na drugim takaż sama postać z wieńcem w ręku, tylko na włosach miała lekko włożoną frygijską czapeczkę—przedstawiała uosobienie narodu. Ta piękna pod każdym względem rzeźba, nosząca piętno prawdziwego talentu, była owocem ośmioletniej pracy rzeźbiarza Sznirchowa. Umyślnie jeździł on do Rzymu, aby kształcąc się na wzorach starożytnych, szkic swój na konkurs przygotować.

Pracował bez wytchnienia, lecz pełen skromności, wątpił aby praca jego pierwszeństwo otrzymać mogła, a zrozpaczony, chwilami odstępował od niej, bo nie odpowiadała temu pierwowzorowi, który stworzył sobie w swej artystycznej wyobraźni. A jednak był to utwór genialny, z zupełnie oryginalną cechą, który przyniósł sławę artyście i pierwszeństwo bez długiego namysłu sędziów na konkursie zjednał. Cóż dziwnego że serce się kraje każdego miłośnika sztuki, każdego Czecha patryoty, gdy takie dzieła, wśród wielu innych, widzi w popiołach. Dzięki ofiarności publicznej, sam gmach się dźwignie, ale czy artyści odnajdą po raz drugi tę iskrę Bożą, która się w piersiach ich paliła, gdy te dzieła pendzla i dłuta tworzyli? Są to tajemnice geniuszu i natchnienia, które czas tylko odsłonić może. Podstawy, na których spoczywały owe tryumfalne wozy, pozostały nietknięte, miejmy nadzieję, gdyż i my nie możemy być obojętni na tę straszną klęskę naszych pobratymców, że Sznirchowi starczy jeszcze sił i talentu, aby wznieść na nich nowe arcydzieło.

Chociaż Czesi, jak wogóle wszyscy Słowianie, mało okazują zamiłowania do dalszych podróży i do samoistnych odkryć geograficznych, z zajęciem jednak śledzą za postępami innych w tym kierunku. Dowód tego mamy w tłomaczeniu obszernych podróży i szczegółowych opisów obcych krajów. W *Kvetach* spotykamy się z wyczerpującym życiorysem znanego podróżnika szwedzkiego Nordenskiölda, a ostatnia podróż jego na parowcu *Wega* znalazła czeskiego tłomacza jakieśmy już o tem mówili.

W każdym numerze pisma, które nas obecnie zajmuje, zawierają się także poezye, przeważnie liryczno-opisowe. Klęska narodowa natchnęła jak wiemy, wielu bardzo poetów; wśród tych utworów mniej więcej szczęśliwych, lecz zawsze pełnych najwznioślejszych uczuć, odznacza się utwór Swiatopluka Czecha, pod tytułem: „Dwa pożary”, jest w nim siła, poezya i dziwnie rzewne uczucie, w tym wierszu zwłaszcza gdy mówi: „Że biedny, poniżony naród, pół wieku wznosił te piękne mury, których każdy kamień łzą jego oblany. Naród ten jeden tylko pałac stawiał sobie, biegł do niego raz z młotem, drugi raz z orężem, a gdy już nadeszły bardzo ciężkie czasy, spoglądał nań zwilżonem okiem, jako na obietnicę lepszej przyszłości.” Dalej powiada: „Że iskry pożaru, który zniszczył ten drogocenny skarb narodu, roznieciły drugi pożar w sercach ludu i rozświecił on kraj cały.” Teraz poznaliśmy — woła z zapałem poeta — jakie to są te serca nasze, co w piersiach czujemy i w ubóstwie naszem jeszcześmy dość bogaci.”

Mówiąc o licznych i różnorodnych składkach, powiada: „Tylko dalej, tylko dalej! a pod tym złotym deszczem rozkwitną te czarne gruzy i przyozdobią się w jeszcze wspanialszą kratę—z popiołów feniks wzleci ku niebiosom, a po wiek wieków głoszonem będzie, że silniejszym od samej przyrody, od strasznego, szalejącego żywiołu, był święty zapał w sercach narodu!”

Z naszych tegoczesnych poetów ulubionym jest przez Czechów Asnyk; wiemy, że już niejeden z jego utworów tak lirycznych, jak i dramatycznych przetłomaczyli oni a teraz w *Kvetach* pomieszczony jest tak znany wiersz: „Publiczność do poetów” w tłomaczeniu Fr. Kwapila, z którego krótkim życiorysem i portretem „Kłosy” nas w tym roku zapoznały.

Helena K.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Dzieje Polski do roku 1772, opracował dla młodzieży Walery Przyborowski. Warszawa, 1879 r.

Daleko przydatniejszem jako podręcznik do nauki jest w tym celu napisane dziełko p. Przyborowskiego. Książka to w ogóle niezła, zawierająca dosyć materyału historycznego, zużytkowanego dość starannie, częstokroć z uwzględnieniem najnowszych źródeł i badań. Niektóre, chociaż króciutkie ustępy, podane są żywcem z kronik i źródeł językiem i w wyrazach samych tych źródeł. Jest to pomysł wyborny, zasługujący na zastosowanie w daleko szerszych rozmiarach niż jak to uczynił pan P.

Autor przeznacza swą pracę dla dzieci już nieco z nauką historyi obeznanych — zawsze to łatwiej pisać dla takich, niż dla początkujących. Właściwie jednak sam wykład dziejów u autora jest elementarny; nieelementarnem jest to chyba tylko, że pozostawiono bez poprzedniego wyjaśnienia wiele pojęć i wyrazów, w nauce historyi używanych, a dla początkujących niecałkiem zrozumiałych. Pomimo dosyć szczupłych rozmiarów książki, autor podzielił swój wykład na rzeczy ważniejsze i szczegóły podrzędniejsze; dobry i to warte pomysł, ale równie tylko wtedy, gdy zastosowany jest na większą skalę; w dziełku zaś pana P. śmiało można oba te działy połączyć razem. Niebardzo zasadnie autor nazywa swoją książkę pierwszą próbą historyi dla obeznanych już nieco z tą nauką — gdy takich właśnie dzieł posiadamy najwięcej, a brak nam historyi w całem znaczeniu tego wyrazu elementarnej, przeznaczonej do nauki takich dzieci, które nietylko nie są obeznane ani z geografią, ani z chronologią, ani z etnografią ale nawet nie wiedzą co znaczy historya, co to jest naród, co to jest państwo, król, sejmy i t. d. Chwali się także p. Przyborowski, jakoby jego historya była wolną od „poglądów i entuzyazmu”. Czy byłoby to zaletą w dziełku przeznaczonem dla wieku, który może i powinien zachwycać się wszystkiem co dobre i piękne — dla dzieci, których umysł i serce mają być kształcone także i przy pomocy nauki historyi — to jeszcze kwestya. Sympatya do rzeczy swojskich, do czynów bohaterskich, do działalności mężów porządkujących kraj, stanowiących prawa, zaprowadzających oświatę i dobrobyt — jest naturalną i chwalebną; do tego wszystkiego „entuzyazmować się” wolno i należy, i doprawdy nie rozumiemy jakiegoś wykładu suchego i obojętnego. Zresztą pod tym względem książka p. P. lepszą jest od tej jego zapowiedzi, gdyż pomimo takiego zastrzeżenia, w wielu miejscach znajdzie czytelnik wyrażone lub widoczne dopiero co wspomniane uczucia i poglądy. Są wprawdzie i poglądy stronnicze, szkodliwe jak np. owo uporczywe powstawanie przeciwko Kościołowi, co dziwnie jakoś nie zgadza się z zapowiedzianą przez autora bezstronnością, a książce ujmuje sporo wartości, czyniąc ją podejrzaną o dążności pozyty-

wistyczne, u nas jeszcze w wychowaniu dzieci bynajmniej nie pożądane. Ta to głównie okoliczność, równie jak rozsiane tu i owdzie usterki sprawiają, że książka p. Przyborowskiego może być wprawdzie używaną do nauki dzieci i może przynieść sporo pożytku, ale nieinaczej jak w ręku i pod kierunkiem dobrego nauczyciela, obeznanego należycie z przedmiotem, a przynajmniej podręcznikami (Lelewela, Siemieńskiego. Chociszewskiego, Wagi), ażeby był w stanie błędy sprostować, niedokładności uzupełnić, fałszywe poglądy złagodzić lub sprostować. Przy takim warunku książki p. Przyborowskiego można używać nawet do nauki elementarnej dla dzieci początkujących.

L. S. W.

Mieszko Stary i jego wiek, przez prof. Stanisława Smolkę. Warszawa, 1881 r.

Literatura historyczna została w b. r. wzbogaconą tem znakomitem dziełem, które tak pod względem formy, jakoteż treści może godnie rywalizować z najlepszemi pracami historycznemi.

Jak sam już tytuł wskazuje, dzieło to obejmuje okres czasu począwszy od ostatnich lat panowania Bolesława Krzywoustego a kończy się wypędzeniem z Krakowa syna Mieszka Władysława Laskonogiego w r. 1207.

Wiek XII dla Polski jest epoką przełomu nieograniczonej władzy książęcej, którą piastowali Bolesławowie, na korzyść duchowieństwa i możnowładztwa, a punktem wyjścia jest testament Bolesława Krzywoustego, mocą którego nierozdzielne dotychczas państwo Piastowskie zostaje rozdrobnione na pomniejsze dzielnice państewka, pod rzekomem senioratem księcia krakowskiego.

Każda władza, tembardziej na tronie, ma urok wielki dla posiadacza, i prawie nikt nie zrzeka się jej dobrowolnie, lecz wytęża wszystkie siły, by ją utrzymać, ugruntować i jeśli się uda rozszerzyć, chyba, że na tronie zasiądzie lalka, która chcąc się koronować musiała podwatowywać koronę Chrobrych, za obszerną dla takiego np. Stolnika litewskiego.

Nic więc dziwnego i psychologicznie zupełnie logicznem wydaje nam się zjawisko, że synowie Bolesława Krzywoustego usilnie starali się wymykającą się im z rąk władzę nieograniczoną, chociażby kosztem krwi zatrzymać.

A czytając ustęp w dziele Smolki, gdy kreśli barwnemi słowy bogactwo i potęgę książąt dawniejszych, gdy olbrzymie przestrzenie ziem polskich i niezliczone grody słały łańcuchy ładownych wozów do skarbca królewskiego, a szczęśliwe wyprawy wojenne wzbogacały zamki królewskie i zaludniały obszary ziemi, zrozumiemy łatwo, że książęta posiadali środki materyalne, by skutecznie popierać swe dążenia, że niełatwo wyczerpywały się te nagromadzone bogactwa i że każdego z nich urok władzy książęcej musiał zniewalać do toczenia walki o utrzymanie się na tym bogatym tronie.

W trzech pierwszych rozdziałach: Kraj, Społeczeństwo i Państwo, zaznajamia nas autor z tłem ówczesnej Polski, a przygotowawszy należycie czytelnika, kreśli i rzeźbi plastycznie książąt pierwszej epoki podziałów. Więc najpierw w rozdziale „Monarchia zachwiana" rysuje się wydatnie najstarszy syn Krzywoustego — Władysław, który ożeniony z Agnieszką, córką Leopolda III-go z domu Babenberg, zamyśla wstąpić w ślady swych poprzedników i wypędzić z kraju przyrodnich swych braci. Usiłowania jego rozbijają się o zjednoczone siły braci i możnowładztwa duchownego i świeckiego. Pobity pod Poznaniem, wypędzony z kraju, powiększa Władysław szereg tak licznych w owym wieku kandydatów do tronu. Na obczyźnie zatraca poczucie godności księcia polskiego, kroczy po bezdrożach i umiera na wygnaniu a dopiero synowie jego odzyskują dziedziczny Szląsk.

Po wygnaniu Władysława wstępuje na tron krakowski Bolesław Kędzierzawy, zawdzięczający swe wyniesienie możnowładztwu, któremu prawie w zupełności ulega, dozwalając swym braciom odgrywać rolę samoistnych książąt. Po jego śmierci w roku 1173 na podstawie zasady senioratu wstępuje na tron Mieszko Stary.

Celem jego panowania było podniesienie sponiewieranej władzy książęcej, poskromienie zawistnych jej żywiołów, restaurowanie zachwianej monarchii i przywrócenie dawnej powagi wobec sąsiadów.

Energiczne działanie Mieszka, jego politykę fiskalną, dążącą do zniszczenia majątkowego stanowiska możnowładzców i trudności jakie napotykał na tej drodze, kreśli mistrzowsko Smolka w rozdziale: „Próżne zabiegi".

Podobnie jak Władysław upadł i Mieszko, a na tron krakowski, z pominięciem zasady senioratu wstępuje Kazimierz Sprawiedliwy.

Śmierć jego była hasłem dla Mieszka do rozpoczęcia nowych starań i zabiegów o tron krakowski, który osiągnąwszy umiera wkrótce w roku 1202. Posiadł tron, lecz tryumf jego był przegraną idei, której dotychczas tak wiernie służył, okupił bowiem jego posiadanie ustępstwem i uznaniem możnowładztwa.

Dzieje syna Mieszka, Władysława Laskonogiego, który pragnął wstąpić w ślady ojca i starał się o podniesienie znaczenia i wpływu władzy książęcej, kończą się upadkiem tych usiłowań i ustąpieniem z Krakowa w roku 1207, a zarazem zamykają dzieło Smolki.

Odczytując dzieje Polski XII wieku musimy uznać jedną wielką i wieczną prawdę, że wobec ducha czasu i wytrwałości narodu, wszelkie wsteczne pokuszenia, chociażby ludzi tak dzielnych, jak Władysława, Mieszka, Laskonogiego, wspomożonych całym aparatem państwowym i armią powolnych urzędników, są bezsilne i muszą upaść — nawet w społeczeństwie tak surowem, mało rozwiniętem i przywykłem do obroży niewolniczej, — a cóż dopiero w społeczeństwie ucywilizowanem?

Zwolna ale statecznie wpływa postęp do Polski, a powiew wolności kruszy lody niewoli: najpierw wyzwala się duchowieństwo, za niem idzie świeckie możnowładztwo, następnie szlachta i mieszczaństwo — tylko biedny lud długo jęczał w niewoli. Lecz i dla niego wybiła godzina wolności i zyskał obywatelstwo na ziemi, którą tak pracowicie a gorzko uprawia.

Dzieło Smolki pisane barwnie i żywo powinnno zająć nietylko szczupłą garstkę interesujących się specyalnie literaturą historyczną, lecz znaleźć przystęp do szerszych kół czytelników i być w ręku każdego miłującego przeszłość, troszczącego się o przyszłość kraju rodzinnego.

A. G.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ W N-rze 306 „Kuryera Porannego" p. Jeleński przemówił o rozszerzeniu instytucyi kas rzemieślniczych. Dotąd jest ich dopiero trzy: to kropla w morzu, sama słuszność wymaga aby ich było przynajmniej tyle ile jest cyrkułów. Istniejące dotąd przekonywają że ci, dla których kasy te powstały, nie są pozbawieni poczucia rzetelności, gdyż jak najskrupulatniej uiszczają przypadające od nich raty. Na ofiarność pojedynczych osób wiele już liczyć nie można, bo ofiarność ta tyle ma obecnie przed sobą celów, iż ani podobna wymagać aby o jednym tylko pamiętała, dlatego więc p. Jeleński zwraca się z prośbą do instytucyi przemysłowych i finansowych, do różnych stowarzyszeń odnoszących wysokie zyski ze swoich obrotów finansowych, a które przecież pośrednio czy bezpośrednio opierają się na rzemieślnikach, wyrobnikach i t. p. P. Jel. woła że powodzenie obowiązuje, my dodamy że woła o to i głos praktycznego rozumu. Dobrobyt klas pracujących wywołuje zwiększenie obrotów pieniężnych, a z niemi powiększenie zysków; choćby zatem dla dobrze zrozumianego własnego interesu, instytucye finansowe i stowarzyszenia o dobrobyt ten starać się powinny. Prośbę p. Jel. popieramy całem sercem wraz z całą prasą naszą, a instytucye ekonomiczne przychylając się do niej wywiążą się uczciwie ze swego obywatelskiego obowiązku.

+ W miesiącu sierpniu r. b. w parafii Wrzeszczowa, w powiecie Radomskim otwartą została szkoła ludowa, powstała skutkiem uchwały włościan z dziesięciu wsi, przy współudziale trzech właścicieli ziemskich z tejże parafii. Zanim dom szkolny zostanie wybudowany, włościanin Piotr Fijałkowicz oddał bezpłatnie na cały rok własny dom swój na szkołę. W dnie powszednie uczyć się będą dzieci, w dnie świąteczne starsi. Roczny etat dla nauczyciela wyznaczono 257 rs., procz tego 6 morgów gruntu z łączką, ale zato zobowiązany jest na jednym morgu założyć i utrzymywać ogród owocowy z darowanych mu drzewek i obeznawać dzieci z sadownictwem. Oprócz dobrowolnych ofiar z pięciu dworów tej gminy, włościanie uchwalili płacić po 9 kopiejek z morga, rzemieślnicy tej gminy płacą rocznie najwyżej po 30 kop. a rodziny wyrobnicze najwyżej po 15 kop. Szanowny proboszcz miejscowy, ks. Kajetan Zieliński zobowiązał się uczyć bezpłatnie religii; ofiarował dla szkoły 4 ulepszone ule z pszczołami i podjął się nauczyciela i dzieci obeznawać z pszczolnictwem. Na nadzorcę szkoły wybrano p. Józefa Niedźwieckiego dziedzica dóbr Wygnanowa. Uchwalono aby obok nauki języka rossyjskiego, wykład nauki odbywał się po polsku; z pośród zgłaszających się kandydatów, wybrano na nauczyciela p. Chojnackiego. Kilku włościan zaniosło uchwałę tę do naczelnika dyrekcyi naukowej w Radomiu, i ten zatwierdził ją bez żadnych zmian 20 września r. b. — Ah! gdybyż to częściej mogliśmy donosić czytelnikom naszym podobnie pocieszające fakta.

+ Donoszą ze Lwowa że Rada miejska Lwowa wyznaczyła z funduszów miasta 5000 zł. reńskich na uczczenie rocznicy odsieczy Wiednia przez króla Jana Sobieskiego. Zaprojektowanie sposobu w jaki miasto ma się przyczynić do uświetnienia tej pamiętnej daty, polecono wyznaczonej komisyi,

której sprawozdawca, Dr. Małecki, przedstawił Radzie do zatwierdzenia następujące wnioski.

1. Ma być rozpisany konkurs na napisanie dzieła w 2-ch tomach p. t. Dzieje panowania Jana III.

2. Na ten cel przeznacza się 5000 złr. mianowicie: 3000 złr. jako pierwszą, a 1500 jako drugą nagrodę dla prac posiadających rzeczywistą wartość naukową, a 500 złr. na pokrycie kosztów połączonych z przeprowadzeniem tej sprawy.

3. Do ocenienia prac konkursowych Rada zamianuje komitet złożony z 7 członków, mianowicie: Józefa Szujskiego, z Krakowa, zaś ze Lwowa: d-ra Ketrzyńskiego, d-ra L. Kubalę; d-ra Anatola Lewickiego, d-ra Ksaw. Liskego, d-ra A. Małeckiego, i d-ra T. Wojciechowskiego. Oprócz tego komitet przedstawił do uchwały Rady wniosek następujący:

„Ponieważ przed przybyciem Jana Sobieskiego pod Wiedeń, ważne dla oblężonego miasta położył zasługi zamieszkały w niem stale Polak, rodem z pod Sambora, Jerzy Franciszek Kulczycki, którego pamięć dotąd przechowuje się w Wiedniu, a portrety jego znajdują się w lokalach stowarzyszenia właścicieli kawiarni w naddunajskim grodzie, zatem raczy Rada miasta polecić członkowi swojemu imiennikowi dzielnego Polaka, ażeby się starał o kopię portretu tego dla miasta Lwowa, i przeznaczyć na ten cel 200 złr. Rada przyjęła bez zmiany wnioski komitetu.”

Praca ta ma obejmować około 60 arkuszy zwykłego druku; termin do nadsyłania rękopismów oznaczono do dnia 12 września 1883 r., nagrody mają być przyznane tylko pracom odznaczającym się rzeczywistą wartością naukową. Rada zastrzega możność przyznania samej pierwszej lub drugiej nagrody, według uznania sędziów konkursowych. Co do kopii portretu Kulczyckiego, zdjęcie kopii z portretu polecono p. Tadeuszowi Rybkowskiemu. Nadto uchwalono że jeden z nowych placów lwowskich, otrzyma nazwę placu króla Sobieskiego.

Może nie bez interesu dla czytelników naszych będzie wiadomość, co za jeden był ów Jerzy Franciszek Kulczycki i jakie dla Wiednia położył zasługi.

Było to w r. 1683; straszny popłoch panował w Wiedniu, gdyż po raz drugi już oblężony był przez Turków. Pomimo bohaterskiej obrony hrabiego Ernesta Rudigera Staremberga, Wiedeńczycy widzieli z przerażeniem iż lada chwila będą zmuszeni kapitulować, jeźli nie nadejdzie prędko oczekiwana pomoc zewnętrzna. Kilku już wysłano posłańców do ks. Karola Lotaryngskiego posuwającego się na czele armii cesarskiej, ale wszyscy z kolei zostali schwytani przez Turków i powieszeni na wałach otaczających Wiedeń. Trwoga i przestrach wzrastały z każdą godziną; wiedziano że ks. Karol znajdował się o parę mil i oczekiwał rozkazu, ale nikt już nie miał odwagi narazić się daremnie na śmierć niechybną. Żył wtedy w Wiedniu Jerzy Kulczycki, młodzian 23 letni; piękny, odważny, rozumny, utrzymujący sklep przy przedmieściu Leopolda; przystał on jako ochotnik do kompanii kapitana Franka. Gdy zwątpienie i rozpacz ogarnęły wszystkich, Kulczycki udał się do głównodowodzącego jenerała.

— Czego żądasz? zapytał się hr. Staremberg, przechadzający się niespokojnie po sali w której odbywała się rada wojenna.

— Panie jenerale, odrzekł, przychodzę prosić o powierzenie mi zlecenia do ks. Karola, ręczę głową, że przebędę szeregi nieprzyjacielskie i za wiadomię o rozpaczliwem naszem położeniu.

— Turcy powieszą cię jak tylu innych, odrzekł hrabia nie zatrzymując się.

— Nie powieszą, panie jenerale.

— I dlaczegoż mieliby być względniejsi dla ciebie jak dla innych? Czyż posiadasz jaki cudowny talizman!

— Może; to pewna że nie mam najmniejszej ochoty być powieszonym.

— A! nie badam twej tajemnicy... Więc chcesz probować przemknąć się przez szeregi tureckie? i tym razem dowódzca zatrzymał się i bystro wpatrzył w młodego ochotnika.

— Przebędę je najniezawodniej, oddam rokaz pana jenerała dowódzcy wojsk cesarskich i powrócę zdać sprawę z danego mi polecenia.

Staremberg pomyślał chwilę.

— Dobrze więc, przyjmuję twoją ofiarę. A jakiej żądasz nagrody jeźli zdołasz tego dokazać?

— Żadnej, dość mi tego zaszczytu, że ocalę Wiedeń.

— A więc niech cię Bóg prowadzi, każę ci niezwłocznie doręczyć rozkaz.

Było to w połowie sierpnia; w nocy straszna zerwała się burza nad Wiedniem i nad okolicą; korzystając z niej, Kulczycki przebrany za Turka, wziął z sobą służącego i niepostrzeżony wysunął się z miasta. Służący ten, nazwiskiem Jerzy Michałowski, był razem z nim na Wschodzie. Nad ranem Turcy ich zatrzymali i poprowadzili do agi. Na dane mu pytanie Kulczycki odpowiedział, że jest kupcem z Belgradu i przyszedł zaproponować im dostarczanie różnych artykułów żywności dla wojska tureckiego.

Pomysł ten podobał się adze; kazał dać jeść mniemanemu muzułmaninowi i jego służącemu, a sam postanowił naradzić się ze starszyzną.

— Zostawiam was na wolności, rzekł odchodząc, tylko nie oddalajcie się bardzo, gdyż moglibyście spotkać forpoczty armii cesarskiej, u stóp góry Leopolda.

Kulczycki umiał skorzystać zręcznie z tej wiadomości; chodząc i pogwizdując zdołał podsunąć się do żołnierzy chrześciańskich, oddać rozkaz ich dowódzcy i spełniwszy posłannictwo wrócił do Wiednia 17 sierpnia. W kilka dni później Sobieski i Karol Lotaryngski wpadli niespodziewanie na Turków, którzy straszną ponieśli klęskę.

Hrabia Staremberg chciał koniecznie skłonić Kulczyckiego do przyjęcia jakiejś nagrody; dzielny młodzian odrzucił datki pieniężne, a nie mogąc się oprzéć naleganiom dowódzcy, zażądał aby mu darowano niezliczoną ilość worków kawy, pozostawionych przez uciekających Turków.

— Ale na cóż ci się zdadzą te małe zielone ziarnka?

— Umiem przyrządzać z nich doskonały napój, który Turcy nazywają kahhwa.

— Dobrze więc, wydam rozkaz, aby ci wydano wszystkie worki; ale oprócz tego gmina uchwaliła kupić dla ciebie dom na przedmieściu Leopolda, abyś nie pozostał w niedostatku, jeźliby twojej kawy kupować nie chciano.

Kulczycki najpierw kawę roznosił po domach, na tacy w filiżankach, a gdy Wiedeńczycy tak polubili ten napój iż się bez niego obejść nie mogli, założył pierwszą w Wiedniu kawiarnię przy ulicy Szkolnej, a gdy ta nie mogła pomieścić natłoku cisnących się gości, przeniósł zię na ulicę Ślusarzy i tam utrzymywał kawiarnię pod *Niebieską butelką* aż do 1703 r. w którym przeniósł się do wieczności. Właściciele kawiarń wiedeńskich po dziś dzień przechowują wdzięczne wspomnienie swego protoplasty i portret Kulczyckiego znajduje się w salach wszystkich ich stowarzyszeń.

— Przed kilku miesiącami powszechną zwracał na siebie uwagę kolosalny wizerunek księżyca, wystawiony w sali Steinway'a w Nowym-Yorku. Na półkuli mającej 16 stóp średnicy, wyobrażone są wypukłe płaszczyzny i wszelkie charakterystyczne cechy powierzchni księżyca, tak jak przedstawiają się z ziemi, z cieniami i barwami właściwemi naszemu satelicie, widzianemu przez potężny teleskop. Jestto największa, najstaranniej wykonana i najkosztowniejsza podobizna księżyca jaką kiedykolwiek zrobiono, a ponieważ odtworzoną została na żądanie i pod bezpośrednim kierunkiem d-ra Schmidta, jednego z najznakomitszych obecnie selenografów, dyrektora obserwatoryum w Atenach, można ją uważać za wierną zmniejszoną kopię księżyca. Na pierwszy zaraz rzut oka daje ona jaśniejsze i dokładniejsze pojęcie o jego fizyografii, niż wszelkie inne sposoby, z wyjątkiem silnych teleskopów. Oświetlana stopniowo z jednej strony potężnym światłem Drummonda, przedstawia dokładnie stopniowe zmiany księżyca od nowiu do pełni. Cienie łańcuchów gór, czarne głębie krateru, zmienne oświetlenie szerokich równin i inne zjawiska księżycowe, szybko przesuwają się przed oczami, dając w kilku chwilach lepsze wyobrażenie o powierzchni księżyca, niż je mamy o powierzchni ziemskiej, dopokąd jakiś zapalony geograf nie zbuduje ziemskiego globu odpowiednich rozmiarów. „Księżyc” ten zakupił i przewiózł do Ameryki p. Riverston, celem wystawienia go na widok publiczny; należy się spodziewać, że ostatecznie zostanie pomieszczony w jakimś publicznym zakładzie naukowym.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Sylwestrowi P. Kopiejek 50 na pomnik Mickiewicza odebrano i dołączono do funduszu na ten cel zbieranego.

Pani Adeli R. w Odesie. Autor o którego przesłano zapytanie, tak się nazywa a Wieczór jest jego przydomkiem rodzinnym.

Zawiadomienia.

Najtańsza fabryka pończoch bez szwu

„JÓZEFINY”,

ul. Długa Nr. 9 w Warszawie.

Tamże koszule, krawaty, negliże i inne drobiazgi *po cenach najniższych.*

Na mocy upoważnienia otrzymanego od Władzy Naukowej **Jadwiga Lipska**, córka dawnej Ochmistrzyni Zuzanny z Duchanowskich Lipskiej, otwiera Zakład naukowy żeński jednoklasowy przy ulicy **Hożej Nr. 5.** Przyjmuje zarówno pensyonarki jak półpensyonarki i przychodnie. Zapis uczennic rozpocznie się d. 16 Sierpnia a kurs nauk 1 Września r. b.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami, oraz dla prenumeratorów na poczcie — katalog księgarni L. Polaka.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 3 Ноября 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

DZIEDZICZKA.

PRZEZ

FLORENCYĘ MONTGOMERY.

Przekład

K. P.

TOM I.

(Dalszy ciąg.)

Ostatnie słowa lady Seaforth wywołały na twarze jej synów wyraz tak przykrego zadziwienia, że byłaby je chętnie odwołała. Chciała ich przygotować do tego co ich czeka, ale pod wpływem rozdrażnienia powiedziała więcej niż zamierzała im powiedzieć. Kolin pierwszy odzyskał zimną krew i rzekł śmiejąc się:

— To i w takim razie lepiej w nim mieć przyjaciela jak nieprzyjaciela! Trzeba pochylić czoło przed wschodzącem słońcem! Najpierwszą osobą po królu jest domniemany następca, i każdy zręczny dworzanin powinien z nim być w zgodzie. Otóż Godfred jest tu domniemanym następcą.

Lady Seaforth skinęła tylko potwierdzająco głową; ciężko jej było odpowiedzieć.

— Ależ to zupełnie jakby kto czytał ustęp z jakiegoś romansu! zawołał znów Kolin. Młody nieznajomy podróżujący drugą klasą, i na którego z tego powodu mało zwracano uwagi, staje się nagle synem wielkiego pana... Mówiąc między nami, parweniusze cisną się zwykle do pierwszej klasy. Ale, mamo, może to na niego czekał na stacyi powóz milorda?

— Tak, z pewnością, odpowiedziała niespokojnie matka. Dla was czekał tam fiakr. Czyby go tam nie było?

— Nie, z pewnością nie! zawołał Kolin; ale to najgorzej że wsiedliśmy do powozu, do powozu milorda! Co się zaś tyczy domniemanego następcy, to nie wiem doprawdy co się z nim stało. Przyjedzie tu zapewnie na wozie z rzeczami, dodał śmiejąc się głośno.

— A! Kolinie, jakże możesz śmiać się z tego! rzekła lady Seaforth niespokojnie.

— Ale bo też łatwo się było pomylić! Zobaczyliśmy powóz czekający na stacyi i wsiedliśmy do niego; zadziwiło mnie to wprawdzie że milord przysłał po nas swój własny powóz, ale nie widziałem w tem nic tak nadzwyczajnego.

Lady Seaforth zadzwoniła, a gdy wszedł służący zapytała czy prócz jej synów nie przyjechał ktoś jeszcze.

— Tak, milady, pan Godfred Seaforth.

Helena zaledwie zdołała ukryć swe przerażenie.

— Nieznośny człowiek, szepnął Kolin śmiejąc się; a gdzież jest pan Seaforth? Czem przyjechał?

— Pan Seaforth najął sobie na stacyi mały wózek, przyjechał do zamku w dziesięć minut po przybyciu panów, i został natychmiast wprowadzony do biblioteki milorda.

— Nie słyszałam aby ktoś zajechał, rzekła lady Seaforth.

— Pan Seaforth wszedł drzwiami przeznaczonemi dla służby, milady.

Twarz lady Seaforth pobladła z przerażenia. Kolin zaczerwienił się, tłumiąc gwałtem śmiech którym też wybuchnął jak tylko służący wyszedł.

— Domniemany następca wchodzący przez kuchnię do gniazda swych przodków! zawołał; wszakże mówiłem że to wszystko dzieje się tak jak w romansach.

— Cicho Kolinie! zawołała z przerażeniem matka, gdyż usłyszała w sieni zbliżające się do drzwi kroki. — Zaklinam cię, bądź cicho!

Zaledwie Kolin miał czas uspokoić się, gdy lord Seaforth otworzył drzwi i wszedł do salonu wraz ze swym synowcem.

— Heleno, rzekł zbliżając się do żony, przedstawiam ci mojego synowca, Godfreda Seaforth. Godfredzie, lady Seafort, a to jej synowie, dodał wskazując Kolina i Andrzeja.

Helena rzuciła zaledwie przelotne spojrzenie na Godfreda, ale pomimo to uderzyła ją zaraz jego pełna dystynkcyi postawa i zadziwiające podobieństwo do jej męża. Zrozumiała natychmiast, że przynajmniej co do powierzchowności, można było być dumnym z takiego syna lub spadkobiercy. Opanował ją taki żal, taka zazdrość że jej się ścisnęło serce, a jednocześnie zbudził, się w niej duch oporu.

Nie mogła i nie chciała podać mu ręki; ukłoniła mu się zimno i sztywno, nie patrząc na niego, nie wymówiwszy jednego słowa. Andrzej poszedł za jej przykładem, a Godfred odkłonił im się równie zimno i z godnością.

Kolin przeciwnie zbliżył się do Godfreda, i rzekł podając mu rękę:

— Byliśmy towarzyszami podróży; bardzo żałuję że nie wiedziałem kim pan jesteś, i przykro mi bardzo że zabraliśmy powóz przeznaczony dla pana.

Lady Seaforth spojrzała ukradkiem na męża gdy syn jej mówił te słowa, i przeraził ją wyraz jego twarzy.

— Zaszła pomyłka z powodu nieuwagi służącego, odezwała się drżącym głosem.

— Doprawdy! rzekł lord Seaforth, takim tonem że lady Helena uznała za właściwe przemówić do Godfreda i zadała mu kilka pytań dotyczących jego podróży. Serce jej się ścisnęło gdy spotkała przypadkiem spojrzenie jego pięknych oczu, i znów pomimowolnie przyznała słuszność Kolinowi, który utrzymywał że Godfred był tak podobny do jej męża jak gdyby był jego synem.

Podziwiała piękną jego powierzchowność; zazdrościła mu i była zazdrosną o serce męża. Oczy lorda Seaforth miały teraz wyraz jakiego nie widziała w nich dotąd; zdradzały jakieś zajęcie, jakieś uczucia pod wpływem których szlachetna twarz jego wydawała się jeszcze piękniejszą.

Zazdrość jej wzmogła się jeszcze, gdy zobaczyła ze zdumieniem że mąż jej zwykle tak obojętny dla swych gości, odprowadził sam Godfreda do pokojów przeznaczonych dla niego, i nad których urządzeniem czuwał osobiście.

XXI.

Widmo ukazujące się w galeryi obrazów.

Godfred czuł się zmęczonym fizycznie i moralnie; znużenie podróżą i natężenie umysłu oddziaływało na jego nerwy.

To pierwsze spotkanie ze stryjem, którego od dzieciństwa uważał za swego wroga, nowość otaczających go przedmiotów, obce mu całkiem otoczenie, wszystko to wyrobiło w nim jakieś gorączkowe usposobienie! Czuł że nie potrafi uspokoić się o tyle aby mógł zastanowić się nad wypadkami dnia ubiegłego, lub zasnąć, wyszedł więc ze swego pokoju chcąc się przejść po szerokim i długim korytarzu, w nadziei że tym sposobem odzyska prędzej spokojność umysłu. Nie omylił się pod tym względem i po niejakim czasie zamierzał już wrócić do siebie. Sądząc że doszedł już do drzwi prowadzących do jego pokoju, otworzył je i znalazł się z głębokiem zadziwieniem w wielkiej galeryi obrazów, oświetlonej tylko srebrzystym blaskiem księżyca. Posągi, portrety i obrazy pokrywające ściany, zdawały się od nich odstawać przy tem niepewnem świetle.

Niespodziewany ten widok, przypominający mu jakieś miejsce opisane w którejś ze znanych mu powieści, sprawił na nim silne wrażenie. Rozmyślał nad tem czas jakiś co mu przywodziła na pamięć ta galerya, i przypomniał sobie powieść Waltera Scota *Ryszard lwie serce*, i ulubionego swego bohatera z lat dziecinnych, rycerza Kennetha i kaplicę w Engaddi. Kenneth równie jak on szukał pociemku drogi do swego schronienia, równie jak on zatrzymał się przed zamkniętemi drzwiami, otworzył je i znalazł się także w miejscu oświetlonem blaskiem księżyca. Dla Kennetha, wejście do kaplicy było tylko wstępem do sceny która się tam przedstawiła jego oczom; czyby i on miał tam zobaczyć coś niezwykłego? Wszedł do galeryi której ciszę zamącał tylko odgłos jego kroków.

Wkrótce potem usłyszał jakieś inne kroki; ukrył się śpiesznie za jednym z posągów i czekał. Drzwi w drugim końcu galeryi otworzyły się cicho, i ktoś wszedł do niej ostrożnie, nieśmiało. Była to jakaś drobna istotka i posuwała się lekko i śpiesznie.

Kto to mógł być? Godfred nie widział dokładnie tej jakiejś dziwnej istoty, która znikła jak cień w przeciwnym końcu galeryi.

Któż to był? We wszystkich starożytnych zamkach zjawiają się jakieś widma, czyżby to miało być widmo Seaforth'u?

Ciągle jeszcze słyszał leciuchne kroki, posuwające się wzdłuż filarów rozdzielających galeryę na dwie części; następnie zatrzymały się w drugim jej końcu. Co tam czyniło to widmo? Godfred nie śmiał się poruszyć, aby tym sposobem nie zdradzić swej obecności; w końcu jednak ciekawość przemogła obawę, zaczął się przesuwać ostrożnie od posągu do posągu, i zatrzymał się dopiero blizko okna, o kilka kroków od widma.

Było tak cicho że zaledwie śmiał odetchnąć, gdy nagle zadrżał usłyszawszy że go wołano:

„Godfredzie"! Echo powtórzyło to imię jakby jakiś krzyk bolesny, przygłuszony łkaniem. Zamierzał już zapytać: „Kto mnie woła?" gdy tenże sam głos odezwał się znowu.

— Czy mogłam przeszkodzić temu? O! Godfredzie, hrabio Seaforth, powiedz czy mogłam uczynić inaczej? Czy to moja wina? Był to głos dziecinny, ale tak smutny, tak rozpaczliwy, że przeniknął do głębi serca Godfreda. Widocznie ta skarga nie do niego była zwrócona, dla tego też starał się ze swego ukrycia dostrzedz dokładnie miejsce z którego wychodziła. i w końcu zobaczył oświetloną blaskiem księżyca śliczną dziewczynkę, klęczącą z podniesionemi w górę oczami, i wyciągającą ręce do

portretu zawieszonego na ścianie. Użalała się przed nim ciągle, i Godfred stał się pomimowolnym powiernikiem jej boleści, boleści o jakiej dotąd nie miał wyobrażenia. Znajdował się w obec istoty daleko młodszej od siebie, a jeszcze bardziej osamotnionej i nieszczęśliwszej od niego.

— Oto, pomyślał, jeszcze jedna ofiara dumy i niesprawiedliwości tego tyrana naszej rodziny! Oto biedne dziecko, do którego nieszczęścia on, Godfred, przykłada się pomimowolnie, i które zapewnie będzie go nienawidzieć, uciekać od niego! Mój Boże! odezwał się prawie głośno, postępując parę kroków bezwiednie.

Co zamierzał uczynić? Może prosić o przebaczenie, pocieszyć dziewczynkę, skłonić ją aby zmieniła swą rozpaczliwą postawę u stóp portretu; powiedzieć jej że jego położenie, to położenie które tak pragnęła posiadać, nie było także godnem zazdrości!

Jeźli miał taki zamiar to było już zapóźno, bo dziewczynka wstała predko, i odeszła równie cicho jak przyszła. Godfred nie mógł już przemówić do niej ani słowa, wyszedł rozdrażniony z galeryi i po krótkim poszukiwaniu znalazł drzwi prowadzące do jego pokoju.

XXII.

Pierwszy dzień w Seaforth.

Lord Seaforth przepędził tę noc dość niespokojnie; wspomnienia przeszłości i zamiary na przyszłość snujące się naprzemian w jego głowie, płoszyły sen z jego powiek. Jeźli zaczął usypiać, stawała mu przed oczami piękna twarz Godfreda, przemawiająca do niego tym głosem i z tym uśmiechem tak mu niegdyś drogim.

Pragnąc jak najprędzej zobaczyć synowca, wstał równo ze słońcem, czując się jakby odmłodzonym, dzięki otwierającemu się przed nim zajęciu, które miało uprzyjemnić mu życie. Zaledwie się ubrał, kazał prosić Godfreda aby przyszedł na śniadanie do jego wyłącznego mieszkania; doznał też niemiłego uczucia gdy służący wrócił z oznajmieniem, że pan Seaforth wyszedł o siodmej godzinie, już po śniadaniu. Jednak dziwna rzecz! pomimo że ta wiadomość sprawiła przykrość lordowi Seaforth, nie wzbudziła w nim żadnej obawy ani podejrzenia. Jedno spojrzenie na Godfreda przekonało go, że synowiec jego nie może być w niczem podobnym do swego ojca. Lord Harold po śniadaniu, udał się do swej biblioteki, i tam oczekiwał niecierpliwie na Godfreda, który też przyszedł wkrótce!

Nie, z pewnością stryj nie zawiódł się na synowcu, który nawet przeszedł wszelkie jego marzenia, i który odziedziczył rodzinne rysy Seaforth'ów. Ruch i powietrze ożywiły twarz jego, która jednak mimo to zachowała swój wyraz poważny, prawie surowy. Zadziwiło to lorda Seaforth, gdyż nie mógł się domyślić że Godfred już od lat dziecinnych czuje do niego głęboką niechęć, i że to uczucie wzmogło się jeszcze w skutek tego co widział i słyszał w galeryi obrazów. Lord Seaforth w zamian za uśmiech którym powitał synowca, odebrał tylko od niego zimny i ceremonialny ukłon.

Upomnienia które przed tem zamierzał udzielić swemu więźniowi stanu (jak lady Seaforth nazywała ironicznie Godfreda), wydały się teraz Haroldowi całkiem niewłaściwemi. Jakże tu przemawiać surowo do młodzieńca, którego spojrzenie zdradzało tak czystą i szlachetną duszę, którego twarz zapowiadała prawość charakteru, wzniosłe uczucia i myśli? Prosił więc tylko Godfreda, jako o dowód grzeczności, aby o ile można najczęściej i najdłużej przebywał razem z nim w jego bibliotece.

Jeźli stryj był tak słabym dla synowca obojętnego i milczącego, cóż to będzie skoro głos i uśmiech Godfreda obudzą w nim słodkie a zarazem bolesne wspomnienia przeszłości.

Przez cały ten dzień Godfred nie otrząsnął się ani na chwilę ze swej oziębłości dla stryja. Pragnął przedewszystkiem uwolnić się od tak nieznośnego dla siebie towarzystwa, i nie umiał ukryć zupełnie swej niechęci.

Lord Seaforth zadziwiony i trochę zmieszany takiem obejściem synowca, napróżno starał się rozpocząć z nim rozmowę. Zadał mu już kilka pytań, na które Godfred odpowiedział bardzo krótko, i namyślał się właśnie czy ma jeszcze podtrzymywać rozmowę, gdy spostrzegł że Godfred spogląda chciwie na szafę napełnioną książkami. Korzystając z tego zapytał go czy lubi czytać.

Lord Seaforth został sowicie wynagrodzonym za swe usiłowania, widokiem radości która w tej chwili rozjaśniła twarz i zabłysła w oczach synowca. Udzielił mu natychmiast pozwolenie czytania wszystkich dzieł znajdujących się w bibliotece, z którego też Godfred skorzystał natychmiast; wziął jedno z nich i zaczął czytać chciwie, nie odrywając ani na chwilę oczu. Lord Seaforth, który zwracał na niego ciągle baczną uwagę, ucieszył się widząc że wybrał dzieło naukowe, i powziął tem korzystniejsze wyobrażenie o synowcu, posiadającym tak poważne i myślące usposobienie. Dziwiło to jednak lorda Seaforth, że Godfred mógł czytać z takiem zajęciem zaraz w pierwszym dniu po przybyciu do tej wspaniałej posiadłości którą miał kiedyś odziedziczyć, i w której nie brakło przedmiotów zasługujących na jego uwagę. W każdym razie, pomyślał, jest to także nieoceniony dar, taka możność zatopienia się zupełnego w jakimś przedmiocie; posiadając ją nie można być zupełnie nieszczęśliwym. O ileż mniej on sam przecierpiałby w życiu, gdyby posiadał podobne usposobienie. Ale jakimże sposobem Godfred nabrał tyle zamiłowania do nauki? Kto je w nim rozwinął? Zapewnie matka; wszakże jest siostrą Edwarda Stanhope, człowieka tak uczonego.

Jest to, myślał dalej, ważna podstawa do dalszego wychowania, należy się tylko zbadać dobrze charakter synowca, poznać jego upodobania, zasady i zamiary. Ale Godfred milczał ciągle pochyliwszy głowę nad książką, której karty przewracał wolno.

— Widzę że cię to dziełko zajmuje bardzo, odezwał się nakoniec lord Seaforth, zniecierpliwiony tak długiem milczeniem.

Godfred zadrżał i podniósł głowę, a zadowolnienie malujące się na jego twarzy dowodziło że czytał z najgłębszem zajęciem.

— Tak, jest to wyborna książka i doskonale napisana, odpowiedział z zapałem lecz natychmiast dodał zimno: — Ale zechciej mi przebaczyć, lordzie Seaforth, że w twej obecności tak głęboko zająłem się czytaniem. Wstał, włożył książkę do biblioteki, ukłonił się stryjowi i zwrócił się ku drzwiom, a jednocześnie uśmiech zniknął z jego twarzy.

— Ah! proszę cię, nie nazywaj mnie lordem Seaforth, tylko stryjem Haroldem! zawołał stryj.

Harold! tak nazywał go niegdyś przyjaciel jego Edward Stanhope, a po nim nikt już więcej.

Lord Seaforth przykro dotknięty sztywnem i zimnem obejściem synowca, starał się koniecznie obudzić w nim jakieś zajęcie; zaczął mówić o książce którą tenże czytał, prosił aby mu przeczytał głośno ustępy które zajęły go więcej; następnie wypytywał się o jego upodobania, zatrudnienia, a nakoniec zaczął mówić o dalszych jego naukach.

Powiedział synowcowi że pragnie aby na przyszły rok mógł być przyjętym do uniwersytetu, ale przypuszczając że może być nie dość posuniętym w naukach, przyjął już dla niego nauczyciela, przy którym będzie przez kilka miesięcy pobierał nauki w Seaforth.

Godfred zgodził się chętnie na wszystkie zamiary stryja, ale nie przedłużał dalej rozmowy. Lord Seaforth zaproponował mu wtenczas aby wspólnie z nim objechał dobra; wyjechali więc razem i stryj zatrzymywał się naumyślnie w miejscach odznaczających się pięknością położenia aby młody jego towarzysz mógł im się przypatrzyć dobrze, oraz chcąc wpoić w niego wysokie wyobrażenie o czekającem go w przyszłości stanowisku, i obudzić w nim dumę rodową tak głęboko zakorzenioną w jego własnem sercu. W ciągu całej przechadzki zwracał baczną uwagę na synowca, nie starał się jednak wywoływać jego pochwał własnemi uwagami. Zresztą uparte milczenie Godfreda nie dziwiło go teraz wcale; sądził że doznawał zbyt silnego wrażenia aby je mógł określić słowami; iż odurzała go prawie myśl że kiedyś tak wielka i piękna posiadłość będzie jego własnością.

Po powrocie do zamku, Godfred czytał dalej książkę i wkrótce zapomniał o wszystkiem, a lord Seaforth pogrążył się w głębokiem zamyśleniu o przyszłości synowca i nadziejach jakie można było w nim pokładać.

Postanowił także zmienić plan postępowania z Godfredem, który ułożył nie znając go wcale, a który teraz wydawał mu się znieważającym dla niego, i tegoż jeszcze wieczora lady Seaforth ujrzała z przykrością, że Godfred zajmuje miejsce obok stryja przy wspólnym obiedzie.

Skoro wstali od stołu, lord Seaforth objawił życzenie aby synowiec przepędził z nim razem wieczór w jego bibliotece, lecz Godfred znużony całodziennym przymusem, który zadawał sobie jedynie przez miłość dla matki, odszedł wcześnie do swego pokoju, pod pozorem ze chce pisać do rodziców.

XXIII.

Kłopoty leśniczego.

Pierwszego września słońce przyświecała jasno i młodzi Fraserowie zeszli do matki na śniadanie w wesołym humorze i w myśliwskiem ubraniu. Kolin już poprzedniego dnia wydał potrzebne rozporządzenia, i oznaczył miejsce w którem lady Seaforth miała spotkać się z nimi.

— Kończ prędko śniadanie, rzekł Kolin do brata, abyśmy się nie spóźnili; już po pół do dziesiątej, a przykazałem aby Cherrymann stawił się w oznaczonym czasie. Pójdę zobaczyć czy już wszystko gotowe, dodał wychodząc.

Andrzej pił herbatę i rozmawiał z matką; czas upływał, już dziesiąta wybiła a Kolin nie wracał.

— Mój kochany braciszek zawsze jednakowo roztrzepany, odezwał się Andrzej; przynaglał mnie do pośpiechu, a następnie odszedł i widocznie zapomniał o mnie!

Zaledwie wymówił te słowa, Kolin wbiegł do sali jadalnej i zawołał popędliwie:

— Nie wiem doprawdy co się dziś stało Cherrymannowi, już dziesiąta a jego nie ma jeszcze.

— Zadzwoń, a poślę zaraz po niego, rzekła lady Seaforth.

Kolin zadzwonił, a gdy wszedł służący, kazała mu przywołać leśniczego. Ale lokaj wrócił po

chwili, z oznajmieniem że Cherrymann wyszedł bardzo rano i dotąd nie wrócił.

— Wyszedł, a to gdzie? zapytała lady Seaforth.

— Kazano mu aby towarzyszył panu Seaforth na polowanie, odpowiedział służący,

Gdyby bomba wpadła w tej chwili do pokoju, nie wywołałaby już silniejszego wrażenia jak ta prosta odpowiedź. Jednak równie lady Seaforth jak jej synowie, potrafili zapanować nad sobą w obecności służącego, który wybrał tę chwilę właśnie do poprawienia ognia i dołożenia drzewa na kominek.

— Powiedz leśniczemu aby przyszedł do mnie jak tylko powróci, rzekła lady Seaforth do służącego, gdy ten zdecydował się nakoniec odejść.

— A co! zawołała, skoro nakoniec zostali sami, czy nie przepowiedziałam ci, Kolinie, co nas czeka? Tak, mówiła dalej cierpko, uprzedziłam was że ten chłopak pozbawi was zajmowanego tu dotąd stanowiska, ale nie chcieliście mi wierzyć. Teraz zapewnie przyznajecie mi słuszność.

Kolin rozdrażniony milczał namarszczywszy czoło. Włożył ręce w kieszenie i spoglądał ze smutkiem na pola i lasy, tak pięknie oświecone promieniami słońca. Twarz Andrzeja zachmurzyła się także.

— Niech licho porwie tego Godfreda, powtarzał, chodząc prędko po pokoju.

Biedni chłopcy! tysiące różnorodnych uczuć budziło się w ich sercach, ale żal był z nich najsilniejszym. Być pozbawionym ulubionej rozrywki! stracić ten śliczny dzień który spodziewali się przepędzić tak przyjemnie! Jakiż to przykry dla nich zawód!

Na twarzy Kolina malował się smutek i żywe rozdrażnienie. Andrzej spokojniejszy na pozór, podzielał w gruncie uczucia brata, a jednocześnie zastanawiał się wraz z matką nad smutnym losem oczekującym ich prawdopodobnie w przyszłości. Jakkolwiek lady Seaforth została boleśnie dotkniętą, starała się ukryć przykre uczucia miotające jej sercem, a chcąc dodać odwagi synom, odezwała się przybierając wesoły ton głosu:

— Nie rozumiem, doprawdy, dla czego nie mielibyście pójść sami na polowanie? Zresztą możecie się zapytać czy który z gajowych nie mógłby wam towarzyszyć.

— A psy? zapytał z żywością Andrzej, zadziwiony że matka mogła zapomnieć o czemś tak ważnem.

— O! może ich nie zabrał z sobą. Zdaje mi się że nie ma żadnego wyobrażenia o polowaniu, i chciał tylko nauczyć się strzelać. W każdym razie najlepiej będzie jeźli przekonacie się sami czy psy pozostały w psiarni.

Wybiegli obydwaj z pokoju, a wkrótce wrócili z oznajmieniem, że znaleźli jednego z gajowych i kilka ze swych ulubionych psów. Potem wyszli rozweseleni, a niedługo zapomnieli zupełnie o doznanej przykrości.

Co do lady Seaforth, ta nie mogła zapomnieć tak prędko, i pozostawszy samą zagłębiła się w gorzkiem rozmyślaniu. Dotąd we wszystkiem co dotyczyło polowania, jej władza była nieograniczoną. Lord Seaforth nie był myśliwym i chętnie pozostawiał tę rozrywkę swym gościom.

Lady Helena posiadając pod tym względem nieograniczoną wolność, uważała że leśniczy zależy wyłącznie od niej, zadziwiła się też bardzo widząc że jej władza została do tego stopnia naruszoną. Bądź co bądź, pomyślała, muszę odzyskać ją napowrót!

Cherrymann wrócił prędzej niż się spodziewano, i stawił się natychmiast przed panią.

— Jak mogłeś, zawołała z gniewem nie szczędząc biedakowi ostrych wymówek, towarzyszyć komuś innemu, skoro pan Fraser i pan Andrzej uprzedzili cię że będziesz im dziś potrzebny?

Cherrymann stał przed lady Seaforth w pełnej uszanowania postawie, ale widocznie nie śmiał lub nie umiał się usprawiedliwić.

— Znajduję się w bardzo kłopotliwem położeniu... odezwał się nakoniec nieśmiało.

— W kłopotliwem położeniu! i dla czegoż to? zawołała unosząc się coraz więcej.

— Milord i milady wydają tak sprzeczne rozkazy, że nie wiem co mam czynić i kogo słuchać.

— Czy to sam milord kazał ci pójść dziś rano? zapytała.

— Tak, milady; a skoro ośmieliłem się uwiadomić milorda jaki rozkaz otrzymałem od pana Fraser, milord odpowiedział mi wzruszając ramionami, że...

— Cóż takiego? Co powiedział? zawołała lady Seaforth, widząc że nie śmie dokończyć. — Mów prędko.

— Powiem, skoro milady każe, odpowiedział Cherrymann, ale upraszam milady aby się nie gniewała na mnie, gdyż spełniłem tylko rozkaz milorda, który powiedział de mnie: „A cóż mnie obchodzi pan Fraser lub ktokolwiek inny wydający ci jakieś rozkazy! Pamiętaj to raz na zawsze, że masz tu jednego tylko pana, którym jest Seaforth, i że odtąd jego tylko masz słuchać. Czy zrozumiałeś mnie?” Powtórzyłem wiernie słowa milorda, i milady sama przyzna że nie pozostawało mi nic więcej jak spełnić jego wolę.

Cherrymann usprawiedliwiwszy się w ten sposób ukłonił się z uszanowaniem i wyszedł. Gniew lady Seaforth wzmógł się jeszcze po tem co od niego usłyszała, ale pomimo to zaczęła się ubierać, aby w oznaczonej porze zejść się z synami w umówionem miejscu.

XXIV.

Wzajemne wrażenia.

Łatwo sobie wyobrazić jakie uczucia lady Seaforth żywiła w sercu dla synowca męża i jakie były ich wzajemne stosunki, skoro przeżyli parę tygodni pod jednym dachem.

Godfred przebywał prawie ciągle z lordem Seaforth w jego bibliotece, stryjenka widziała go więc rzadko, ale to właśnie podbudzało jeszcze jej gniew i zazdrość, że ten obcy, jak go nazywała, mógł w każdej chwili korzystać z towarzystwa jej męża.

Zobaczmy teraz jakie wrażenie sprawiło na bohaterze naszym to życie angielskie, wśród którego znalazł się tak nagle.

Przedstawmy sobie w myśli czego doznałby któryś z naszych rycerskich i przywykłych do prostoty przodków, gdyby się znalazł raptem wśród wykwintnego towarzystwa dziewiętnastego wieku. Z jakimże podziwieniem dochodzącym do zachwytu, patrzyłby na roztaczający się przed jego oczyma zbytek, wyszukane wygody i wymagania naszej cywilizacyi!

Podobnego wrażenia doznał Godfred, przyzwyczajony do życia skromnego, prawie patryarchalnego, gdy znalazł się nagle otoczonym przepychem i komfortem pałacowego życia angielskiego. Wszystkie istniejące tam zwyczaje, nawyknienia, całe urządzenie, wzbudzały jego zadziwienie; tak wszystko, począwszy od wyszukanych potraw, do wspaniałego umeblowania i wielkiej liczby służących: zbytku, bez którego obchodził się dotąd z łatwością, dzięki swemu usposobieniu niezależnemu i czynnemu.

Ten właśnie ostatni rys jego charakteru zwrócił uwagę lady Seaforth; była zmuszoną przyznać w głębi duszy, że jej synowie w porównaniu z Godfredem byli leniwi i niezaradni.

Kolin i Andrzej potrzebowali ciągle czyjejś pomocy; dzwonili na służącego, gdy wyciągnąwszy tylko rękę, mogli usłużyć sami sobie; nie umieli zapakować swych rzeczy, ani też zapiąć myśliwskich kamaszy. Zaledwie potrafiliby odkorkować butelkę wina, lub dołożyć kawałek drzewa do ognia.

Najwięcej jednak dziwiła Godfreda rozmowa powtarzająca się w Seaforth w dni słotne; nie mógł zrozumieć tego ciągłego narzekania na niepogodę, tego ustawicznego spoglądania na barometr, słowem tego ogólnego niezadowolnienia za każdym razem gdy słońce ukrywało się za chmurami. A jednak, jakże to łatwo można było znaleźć sobie jakieś przyjemne lub użyteczne zajęcie w tym wspaniałym pałacu! Na stołach leżało mnóstwo dzienników, przeglądów, broszur, nowo wydanych książek; bogata biblioteka wyborowych dzieł była otwarta dla każdego co chciał z niej korzystać. Prócz tego można jeszcze znaleźć różnego rodzaju rozrywki, a między innemi bilard, *lawn-tennis*, salę koncertową, galeryę obrazów.

Godfred porównywał w takim razie w myśli ten obszerny i piękny pałac z małym i skromnym szaletem, w którym w czasie pory dżdżystej przebywał zamknięty przez całe tygodnie, bez gazet i książek, a jednak umiał zawsze znaleźć sobie jakieś zatrudnienie.

Zajmowało go także bardzo, prawdziwie dystyngowane towarzystwo wśród którego miał odtąd przepędzać życie, dostarczające jego umysłowi, już z natury badawczemu, co raz nową sposobność do spostrzeżeń, które jednocześnie wtajemniczały go w nieznane mu dotąd zwyczaje.

Prócz tego obraz płaczącej tak rzewnie Joasi, stał mu ciągle przed oczyma. Nie zobaczył już powtórnie biednej dziewczynki, ale myślą był zawsze przy niej; zdawało mu się że słyszy ciągle jej bolesne skargi, i pragnął gorąco znów się z nią spotkać i rzucić jej słówko pociechy. Chciał jej powiedzieć że jego położenie było także bardzo smutne, pomimo świetnych nadziei na przyszłość, i przynieść jej ulgę wykazując że ich cierpienia są jednakowe.

W tym celu wchodził często do galeryi obrazów, w tej samej porze co wtenczas, ale nie znalazł jej tam nigdy; ciemno było i pusto. Wprawdzie raz spacerując koło stawu, spostrzegł z daleka śliczną dziewczynkę której długie jasne włosy spadały na ramiona, ale prawie natychmiast znikła mu z oczu. Czyżby miał zawsze ścigać ją naprózno, jakby jakieś nieujęte widmo? W końcu zaczął przypuszczać że ta mała niedościgniona istotka, była tylko utworem jego rozbujałej wyobraźni.

Lord Seaforth był teraz szczęśliwszym niż kiedykolwiek w życiu; pozornie nic się w nim nie zmieniło, ale nowe myśli i nowe zajęcia upzyjemniały je i przerywały jego jednostajność. Teraz już nie potrzebował sam zwiedzać obszernych dóbr swoich, Godfred towarzyszył mu prawie zawsze, i lord Seaforth wskazywał mu z prawdziwą przyjemnością dokonane już ulepszenia, i mówił o tych które jeszcze dokonać zamyśla.

Tygodnie i miesiące mijały szybko i radośnie dla lorda Seaforth; gorzkie wspomnienia nawiedzały go coraz rzadziej, ustępując miejsca błogim widokom na przyszłość.

Badać charakter synowca, widzieć jego niezmordowaną pilność, być świadkiem jego prawdziwie zadziwiających postępów w naukach, stanowiło nie-

wyczerpane źródło rozkoszy dla lorda Seaforth, który także coraz lepiej oceniał stałość charakteru i moralną wartość Godfreda, a to co dowiedział się od niego o jego przeszłości, powiększało jeszcze szacunek i przywiązanie lorda Seaforth do synowca.

Patrząc na Godfreda gdy pochylony nad książką zdawał się zapominać o wszystkiem zresztą, przepowiadał mu najświetniejszą przyszłość, a jeżli znużony jego przedłużonem milczeniem, prosił aby mu coś przeczytał, wtenczas podziwiał że wymawia każde słowo z tak doskonałem zrozumieniem rzeczy, i ulegał zupełnie urokowi jego dźwięcznego głosu. Tylko zimne i sztywne obejście Godfreda rzucało jakiś przykry cień na to błogie życie; nigdy nie wspomniał o rodzicielskim domu, i starał się zmienić natychmiast przedmiot rozmowy, jeźli dotyczyła jego ojca.

W piętnaście dni po przybyciu Godfreda do zamku, nadeszła ważna dla niego chwila, w ktorej miał być przedstawionym całej arystokracyi hrabstwa.

Fraserowie, z którymi spotykał się jedynie przy obiedzie, wrócili już do Eaton; co się zaś tyczy lady Seaforth, ta nie zwracała na niego uwagi i nie mówiła z nim wcale.

XXV.

Lady Alicya i jej sąd o towarzystwie.

Miało się odbyć w Seaforth wielkie polowanie, a już na kilka dni przed tem przybyła tam lady Alicya Fullerton, niemłoda już panna, której obecność na wszystkich zabawach w zamku zdawała się rzeczą niezbędną.

Lady Alicya lubiła mówić i umiała podtrzymać rozmowę, lubiła także świat i towarzystwo, a w ogóle była osobą miłą, rozsądną i obdarzoną bystrym umysłem. Jedynym zarzutem jaki jej można było uczynić, był dowcip trochę złośliwy i pewna skłonność do obmowy.

Jakkolwiek była wielką przyjaciółką lady Seaforth, polubiła Godfreda od pierwszego widzenia, a ponieważ odgadła wkrótce jakie były co do niego uczucia lorda Seaforth, chcąc mu zrobić przyjemność, rozmawiała z nim przy każdej sposobności o synowcu.

Lady Fullerton bywała często i już od wielu lat w Seaforth; dotąd pan domu był zawsze poważny, milczący, a na zadawane mu pytania odpowiadał krótko i z roztargnieniem. Jakaż teraz uderzająca zmiana w jego usposobieniu! Był wesoły, rozmowny, a oczy jego ścigały wszędzie synowca.

Zaciekawiona tem lady Alicya, postanowiła przekonać się sama przez się co ma myśléć o Godfredzie, i chcąc dojść do tego celu, zaprezentowała mu się sama i rozmawiała z nim przez cały wieczór.

— Tak więc, panie Seaforth, rzekła, znajdujesz się dziś po raz pierwszy w arystokratycznem towarzystwie angielskiem?

— Tak, odpowiedział Godfred; dotąd przebywałem ciągle za granicą, w miejscowości położonej między Niceą i Monako.

— Czy w Nicei można znaleźć towarzystwo? pytała dalej, a widząc że nie rozumie jej dobrze, dodała: — Pytam się czy pan miał w Nicei *dobre* towarzystwo?

— Miałem tam towarzystwo mej matki, a więc najlepsze, odpowiedział Godfred.

— Więc, mówiła dalej z wzrastającem zajęciem, jesteś pan dziś rzeczywiście wtajemniczony po raz pierwszy, tak w zwyczaje życia angielskiego, jak w towarzystwo w ogólności.

— Zapewnie, odpowiedział Godfred, ale słyszę że tu nazwa *towarzystwo* jesi używaną w tylu odmiennych znaczeniach, że doprawdy trudno mi zrozumiéć dokładnie co rzeczywiście oznacza. Czy nie zechce mi pani tego wytłomaczyć?

— Towarzystwo! jakże to zdołam określić? Zadałeś mi pan trudne do rozwiązania pytanie, zawołała lady Alicya.

— Według Johnsona, odezwał się Godfred... ale zatrzymał się nagle spostrzegłszy trochę ironiczny uśmiech na ustach lady Alicyi.

— Czy pan szukał w dykcyonarzu znaczenia tego słowa? zapytała.

— Tak, odpowiedział spokojnie, szukałem w dykcyonarzu, gdyż zdaje mi się że to słowo musi miéć podwójne znaczenie.

— Doprawdy, panie Seaforth, zazdroszczę panu, rzekła z żywością, gdyż widzę że czekają cię w życiu co raz to nowe i ciekawe odkrycia! Ale czy wolno zapytać, czy określenie tego wyrazu przez Johnsona, zadowolniło pana zupełnie?

— Nie, pani, odpowiedział, nie mogłem jeszcze pochwycić tych wszystkich znaczeń w których jest tu używanem. — Co naprzykład chciała dziś powiedziéć lady Seaforth, mówiąc o jednych osobach że należą do towarzystwa, o innych zaś że do niego nie należą? I co pani także rozumiała przez to pytanie, czy w Nicei znajduje się *dobre* towarzystwo?

— O błoga prostoto ducha! pomyślała lady Alicya, mogłabym sądzić że się znajduję w starożytnej Arkadyi! Następnie dodała z uśmiechem: — Spróbuję wytłomaczyć to panu. Towarzystwo, dobre towarzystwo, zaczęła mówić odkalszlnąwszy lekko, ale zatrzymała się nagle spotkawszy poważne i głębokie spojrzenie Godfreda.

— Dokończ pani, proszę!

— Ależ bo to tak trudno, prawie niepodobna określić coś podobnego, odpowiedziała lady Alicya. Takie rzeczy czuje się, odgaduje instynktownie, ale słowami opisać ich nie można. Zaręczam panu że jeden sezon przebyty w Londynie nauczy cię więcej pod tym względem, niż wszelkie moje objaśnienia. A więc powiem panu tyle tylko, że *należyć do towarzystwa* znaczy stanowić cząstkę świata wyższego, eleganckiego, bywać w salonach uczęszczanych przez osoby dystyngowane i używające dobrej opinii.

— A! rozumiem, zawołał Godfred; w tym świecie spotyka się ludzi uczonych, sławnych literatów, artystów, mężów stanu. Jeżeli tak, to pragnąłbym do niego należeć.

— O! nie, nie to właściwie chciałam powiedziéć, nie zrozumieliśmy się jeszcze dobrze, odrzekła z żywością lady Alicya; ale też powtarzam raz jeszcze, że są to rzeczy których ja przynajmniej nie potrafię dobrze wytłomaczyć. Zresztą przedstawiają się one śmiesznie jeżeli ktoś chce im nadać jakąś określoną formę, i co do mnie, wstydzę się prawie tej tak ściśle pilnowanej u nas różnicy stanów, i tych linii demarkacyjnych odgraniczających różnę klasy społeczeństwa; jednak skoro już istnieją, trudno nie zwracać na nie uwagi. Co do pana, panie Seaforth, odkryjesz je sam bardzo łatwo, skoro wejdziesz w ten świat który przyjmie cię z wyciągniętemi rękami, jak zwykle przyjmuje wszystkie świetne partye, dodała ze swym ironicznym uśmiechem; a będziesz należał do najświetniejszych, panie Seaforth.

— Partye! cóż to znaczy? zapytał znów zadziwiony Godfred.

— O! byłoby to prawdziwem szczęściem dla ciebie, gdybyś nigdy nie zrozumiał tego! zawołała z żywością. Dla tego też, panie Seaforth, pozostawię cię w tej nieświadomości, ale za to, jeźli tylko życzysz sobie, opiszę ci w jaki sposób odbędzie się to polowanie, do którego czynią tu przygotowania Powiesz mi pan następnie czy mój opis był przesadzony lub nie.

— O! przyjmuję z wdzięcznością ten dowód grzeczności pani! zawołał Godfred.

— A więc przypuśćmy że zostałeś pan zaproszonym na polowanie do jakiegoś obcego domu. Przyjaciele i sąsiedzi zjeżdżają się w dniu oznaczonym. Gospodarze czekają już na nich w salonie, przy stole zastawionym do herbaty. Turkot zajeżdżających powozów zwiastuje przybycie gości. Wkrótce potem służący otwiera obie połowy drzwi i donośnym głosem wypowiada długi szereg nazwisk.

Damy ukazują się w ubraniu podróżnem, ale jedne z nich mają toalety bardzo eleganckie, inne skromniejsze, a niektóre nawet mają na sobie nieprzemakalne płaszczyki. Baczność! oto wchodzi modna dama, dajmy nato w ciemnozielonym kostiumie, przypadającym jej bardzo do twarzy; jej kapelusik z piórami zastosowany doskonale do całego jej stroju. Przypatrz jej się dobrze i spojrzyj do przedpokoju w którym stoją jeszcze jej ogromne kufry, zawierające zapewnie przecudne stroje, i dające wysokie wyobrażenie o pięknej nieznajomej. Jest to rzeczywiście jedna z tych osób których zadaniem jest olśniewać codzień wszystkich co raz nowemi i co raz piękniejszemi toaletami, aż nakoniec dochodząc w dniu ostatnim do szczytu najwykwintniejszej elegancyi, oczaruje cię i pozostawi w twym umyśle niezatarte ślady.

Ale wróćmy do głównego przedmiotu. Wkrótce po wejściu dam, otworzono znów drzwi uroczyście i służący wygłasza nazwiska panów wchodzących do salonu. Są to po części ludzie żenieni, i zaledwie kilku kawalerów znajduje się między nimi, ale każdy z tych panów jest zawołanym myśliwym.

Teraz rozpoczynają się powitania i uściśnienia ręki, między osobami które nie dostrzegły się w pierwszej chwili, i teraz także najłatwiej poznać usposobienie każdego z gości. Oto, naprzykład, człowiek z sercem gorącem i tkliwem, z temperamentem krwistym, ściska serdecznie rękę gospodyni domu i wynurza jej swą radość z powodu że się znajduje pod jej dachem, co jednak nie przeszkodzi mu za minutę prosić o *Bradshaw*, aby w nim zobaczył którym pociągiem będzie mu najdogodniej wrócić do domu.

Tam znów człowiek zawsze niespokojny, zakłopotany, dopytuje się o listy i depesze które miały przyjść do niego, a zaledwie mu je oddano, zaczyna czytać zapominając o wszystkiem. Wiele z pań idzie pod tym względem, za przykładem panów, czytają chciwie odebrane listy, i przywołują bez ceremonii mężów chcąc się podzielić z nimi odebranemi wiadomościami.

Niektóre z pań czynią korzystne lub niekorzystne uwagi o domu i gospodarzach jego, ale większa część znużona podróżą, i chcąc odpocząć trochę przed obiadem, prosi aby im wskazano przeznaczone dla nich pokoje. Jest to dla wszystkich hasłem do rozejścia się, i gospodyni domu odprowadza każdą z pań do jej pokoju, uwiadamiając ją jednocześnie o której godzinie będzie obiad, w którym pokoju mają się zejść wszyscy, i wskazując najbliższą do niego drogę.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 46.

(Dokończenie.)

N. 30. Szlak Haft z aplikacyą. Deseń na dodatku f. 35.

Fig. 35 daje w naturalnej wielkości deseń szlaku 17 c. szerokiego, zmniejszonego na ryc. 30. Tło stanowi bronzowy aksamit, aplikacya dana z jaśniejszego atłasu. Brzegi haftu aplikowanego na atłasie, odznaczone są złotym sznureczkiem; do haftu użyta filozela dzielona po dwie nitki; ściegi mieszane są różne i to właśnie podnosi efekt haftu.

N. 31. Fartuszek dla małej dziewczynki.

Uszyty jest z batystu z koronką i wstawkami; szarfa z wstążki atłasowej 9 cent. szerokiej, kokardy z wstążki 4 cent.

N. 32. Suknia z przemarszczaniem (coulissé). Patrz ryc. 16 w N. 45. Wskazanie kroju na dodatku N. VIII, fig. 29.

Przy sukni wykończonej z pięknej miękkiej materyi jedwabnej, zwanej surah merveilleux, zasługuje na uwagę oryginalna tunika, jaką widzimy z przodu na ryc. 16 w N. 44, przedstawiającej samą spódnicę do której można włożyć stanik bluzkowy lub trykotowy. Tunika taka stosowna tylko do miękkich materyałów, jak kaszmir, beiże i t. p. Fig. 29 załącza krój i wymiar; część *a* oznacza przód tuniki przemarszczany w górze a niżej sfałdowany podług ryc. 32 i 16; *b* daje połowę tylnego bryta a linja kropkowana oznacza środek dolny; bryt w całej długości 365 c. liczący 56 c. szeroki, składa się we dwoje, zszywa brzegi środkowe z sobą, nie przecinając bryta na złożeniu; następnie brzegi boczne podług znaków fałduje do 140 c., górny brzeg sfałdowany wszywa w pasek od sukni, a dół szwem odwróconym przyczepiony jest do spódnicy. Środkowe upięcie oznaczają krzyżyki i wskazują ryciny.

N. 34. Sukieneczka wyszyta perełkami.

Bardzo elegancka sukienka z ciemno-granatowego aksamitu, ma bufowany plastron przedni i szarfę dodane z blado-niebieskiej materyi surah. Strojne przyozdobienie stanowi szeroki szlak wyszyty białemi szmelcowanemi perełkami. Naszyjnik z frendzli perełkowej, danej jednym rzędem na plastronie.

N. 35. Suknia zdobna koronką i kokardami.

Suknia z żółtawo-białego kaszmiru, formą princesse z draperyami, ma pasek w kształcie szarfy i kokardy z kolorowej wstążki. Wzdłuż przodu sukni dane żabotowe przybranie z koronki.

N. 36. Suknia z wielkim trenem.

Wspaniała toaleta składa się z krótkiej spódnicy, zakończonej dwoma koronkowemi wolantami, spadającemi z pod bufy i ozdobionej efektownym srebrnym haftem, podług deseniu załączonego na dodatku z krojami (N. 1 na lewej stronie arkusza). Do tej spódnicy włożone jakby vêtement formą princesse z wielkim trenem, spływającym w ciężkich fałdach. Chusteczka koronkowa na staniku spięta bukietem; półdługie rękawy garnirowane koronką. Lewy bok sukni zdobi długa girlanda.

N. 37. Vêtement z kołnierzem chusteczkowym.

Vêtement zapinane z tyłu, ozdobione szerokim kołnierzem z marszczonej koronki, spiętym z boku kokardą.



N. 1—2. Suknia ze stanikiem przemarszczanym bawetowym lub bluzkowym. Patrz ryc. 4, 5 i 16 w N. 48. Krój na arkuszu N. X, fig. 53—60.

Kołnierz taki odpowiedni do każdej sukni, może być zapięty kwiatami do strojniejszego ubrania.

N. 38. Ubranie z chustką koronkową.

Mężatki lubiące ubierać się poważniej, noszą do ubrania na koncert lub do teatru chustki koronkowe lekko zarzucone, do tego odpowiedni kapelusik koronkowy nakształt ubranka i wachlarz z koronką.

Opis do N-ru 47.

N. 1 i 2 oraz N. 4, 5 i 16 w N-rze 48. Suknia ze stanikiem przemarszczanym, bawetowym lub bluzkowym. Krój na arkuszu z formami N. X, fig. 53—60.

Cienki, gładki, wełniany materyał, przybrany aksamitem lub atłasem i aksamitem takiego samego koloru, najwięcej używany jest na suknie robione tym fasonem. Na ryc. 16 w N. 48 dajemy oddzielnie samą spódnicę wraz z przyszytą na niej draperyą tunikową, której mały model i miary z oznaczeniem fałd krzyżykami, dajemy na fig. 60. Szerokość górnego przemarszczania oznacza linijka przerywana. Baskinę do pleców stanika dodaną, podszywa się atłasem, fałduje w górze podług znaków i przyszywa od spodu do plecków, zaś brzegi górne załamuje się podług linijki oznaczonej na fig. 56, na ranwers. Do przodów dodaje się potrzebną ilość materyału na przemarszczenie, między szwy boczne wszywa się pasek 6 cent. szeroki, w końcach przednich zwężony i kokardą ze wstążki zapięty. W miejsce aksamitnych, kołnierz i mankiety mogą być cienkie płócienne oszyte koronką, jak na ryc. 5 w N. 48, lub koronkowe jak na ryc. 4, która przedstawia stanik bluzkowy z boku na kryte haftki zapięty, z przodu do paska a z tyłu baskiną fałdowaną lub frakową zakończony. Górna połowa rękawów stanowi bufę zmarszczoną, dolna jest obcisła guziczkami ozdobiona.

N. 7—8 i ryc. 65 w N-rze 48. Sukienka z przemarszczanym stanikiem dla małej panienki. Krój podług formy do ryc. 27 i 28.

Sukienka przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 7 i 8, składa się z fałdowanej spódniczki i z paletocikowego vêtement, które na modelu odrobione były z kaszmiru i atłasu. W miejsce przemarszczanego plastronu, można do przodów otwartych dodać gładką kamizelkę, która u dołu powinna być dłuższa od prosto ściętych przodów, jak to widać na ryc. 7. Przy przemarszczanym plastronie mankiety są także przemarszczane, a do gładkiej kamizelki dają się gładkie, równie jak ona naszyte kilka razy stalową plecionką. Próbkę ładnego przemarszczanego garniruaku dajemy na ryc. 65 w N. 48.

N. 9 i 35. Krótki paletocik. Krój N. XIII, fig. 72—77.

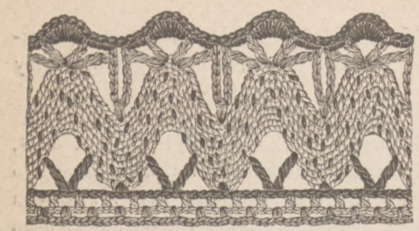
Ryc. 9 przedstawia z tyłu paletocik z dubeltowego kortu, oszyty jedynie sznurem jedwabnym i ozdobiony dużemi repsowemi guzikami. Na ryc. 35 dajemy strojny paletocik pluszowy z kołnierzem i mankietami atłasowemi i pięknemi guzikami ciemnemi z konchy perłowej. Przy paletociku ryc. 9 spodnie części rękawów, od punktu do do dołu, są o tyle rozszerzone, iż wystające kawałki zachodzą od gwiazdki do dwukropka, pod skośnie ściętą przy ręce zwierzchnią połowę rękawa.

N. 10. Paletot dla chłopczyka od lat 10—12.

Forma paletotów dla chłopczyków nie zmieniła się wcale, ciągle robią je na jeden lub dwa rzędy guzików zapinane, z plecami gładkiemi lub szerszemi na pasek zapinanemi, z kołnierzami i mankietami futrzanemi lub pluszowemi.

N. 11—13 i ryc. 1 i 15 w N-rze 48. Stora do okna. Ścieg pleciony i krzyżowy włoski na dwie strony. Desenie na arkuszu z krojami fig. 108—120.

Model deseni do rolety wzięty był ze starodawnych wzorów. Na tle z kanwy płóciennej lub rzadkiego płótna szarego lub białego, w równo podzielonych kratach, odznaczonych szlaczkami wyszytemi ściegiem plecionym, bawełną lub jedwabiami kolorowemi, wyszyte są ściegiem krzyżowym włoskim, rozmaite, w każdej kracie odmienne, zwierzątka, gałązki, arabeski lub geometryczne figury; model liczył 37 odmiennych deseni, z których 12 dajemy na fig. 109—120, resztę damy w następnych numerach Tygodnika. Wszystkie desenie są do ściegu krzyżowego; chcąc je przerobić na ścieg pleciony, trzeba sposobem wskazanym na fig. 8, cztery nitki krzyżyka oznaczyć czterema równoległemi punktami, do czego najlepiej użyć papieru kratkowanego, albo polinio-wanego w równą kratkę. Fig. 9 daje deseń krzyżowy na szlaczek odznaczający kraty i na jeden kwadrat środkowy, których naturalną wielkość w wyszyciu ściegiem plecionym, przedstawia ryc. 13, a na ryc. 1 w N. 48 dajemy powiększoną próbkę roboty. Na niewykończonej części kwadratu widzimy w jaki sposób wyszywa się pierwszą kratkę łączącą cztery punkty, oznaczające jeden krzyżyk. Kratki te, zwłaszcza przy figurach geometrycznych składają się z dwóch rzędów ściegów, oznaczonych dwoma jaśniejszemi cieniami, gdy dwa cienie ciemniejsze oznaczają drugie obwiedzenie kratek, robione także dwoma rzędami ściegów. Dokładniejsze opisanie roboty podaliśmy przy ryc. 13 w N. 35 i ryc. 2 w N. 36 Tygodnika Mód. Szlak przy rolecie składa się z kwadratów z siatki gipiurowej, wyszytych jedwabiem ponsowym i białemi nićmi (Königsgarn,) i ze szlaczków robionych na płótnie ściegiem krzyżowym włoskim, do



N. 3. Ząbki z tasiemeczki obrobionej szydełkiem, bawełną szafirową i ponsową.

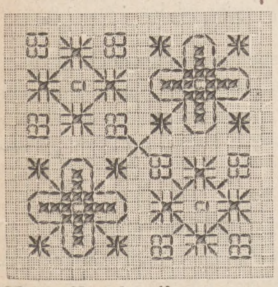
których deseń dajemy na r. 15 w N. 48. Frendzlę robi się z jedwabiu ponsowego i nici białych.

N. 14-16. Pończocha jedwabna robiona szydełkiem.

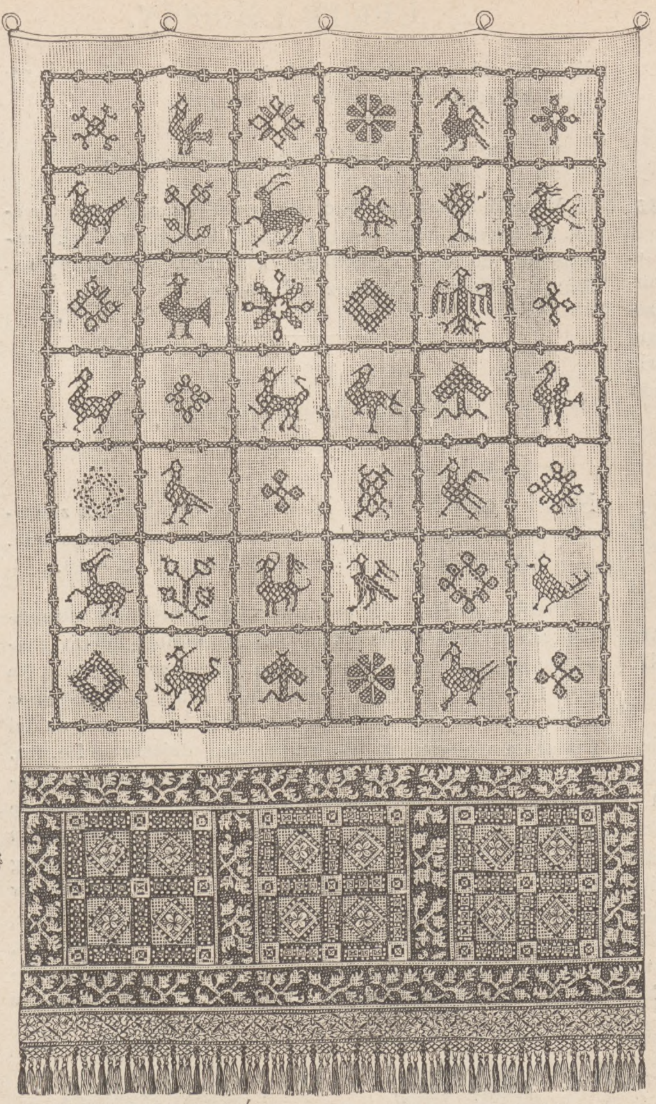
Model pończochy robiony był z kordonkowego jedwabiu koloru orzechowego i szafirowego, podług próbki ryc. 14, dając naprzemian wzdłuż 3 rzędy orzechowe, ściegiem karbowanym i jeden rząd szafirowy ściegiem deseniowym. Tylko podeszwa jest cała orzechowa, robiona ściegiem gładkim tunetańskim. Pończochę robi się nie w koło lecz w podłuż, pasując podług wykrojonej papieru formy bez podeszwy, z dobrze leżącej pończochy. Po wykończeniu cholewki wraz ze zwierzchnią częścią stopy, spaja się takową oraz piętę oczkami ścisłemi z lewej strony, a nakoniec wszywa się lub przyrabia oczkami ścisłemi podeszwę. Na ryc. 15 dajemy próbkę roboty tunetańskiej na podeszwę, robioną dwoma kolorami, każdym naprzemian po jednym rzędzie. W tym ściegu oczka nabierane na szydełko, biorą się w środek oczek poprzedzającego rzędu i obejmują na wskroś przerobienie łańcuszkowe, jak to dokładnie strzałka wskazuje. Nakoniec górny brzeg pończochy obrabia się oczkami ścisłemi i ząbkami pikotowemi.



N. 7. Sukienka z przemarszczanym stanikiem. Patrz ryc. 8 i ryc. 65 w N-rze 48. Krój jak do ryc. 26—27.



N. 5. Kwadracik wyszyty krzyżykami i ściegiem na dwie strony.



N. 11. Stora do okna. Ścieg pleciony i krzyżowy włoski na dwie strony. Patrz ryc. 12-13 i ryc. 1 i 15 w N. 48, tudzież fig. 108-120.

N. 17. Żabot z muślinu i koronki 6 cent. szerokiej, układa się na kawałku sztywnego tiulu. Dwa trójkąty muślinowe mające 10 i 15 cent. długości w prostym górnym i wewnętrznym bocznym brzegu, zdobi wachlarzowo naszyta przymarszczona koronka i kokardy z wązkiej wstążki. Górne brzegi trójkątów są sfałdowane.



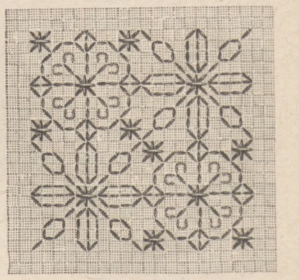
N. 4. Ząbki z tasiemeczki obrobionej szydełkiem.

N. 20—21. Ubranie dla chłopczyka lat 8—10. (Majtki z przypinanym stanikiem i bluza.) Krój N. XIV, fig. 78—84.

Model ubrania odrobiony był z sukna granatowego, całą ozdobę stanowiło kilka rzędów stębnówek i guziki metalowe. Boczne szwy w majtkach nie zeszywają się z lewej strony, tylko zakładają jednym brzegiem na drugi i stębnują po wierzchu, przyczem trzeba wstębnować kieszonki, kawałkiem sukna z brzegu podszyte. Pasek prosty 4 c. szeroki, mający dziurki do przypięcia stanika z szyrtyngu, przyszywa się oddzielnie do przedniej i tylnej części majtek. Bluzkę robi się bez podszewki, a w obrąbek u dołu nawłóczy się elastykę. Proste mankiety mają 10 c. szerokości, kieszonka podszyta od spodu 9 c. wysokości.



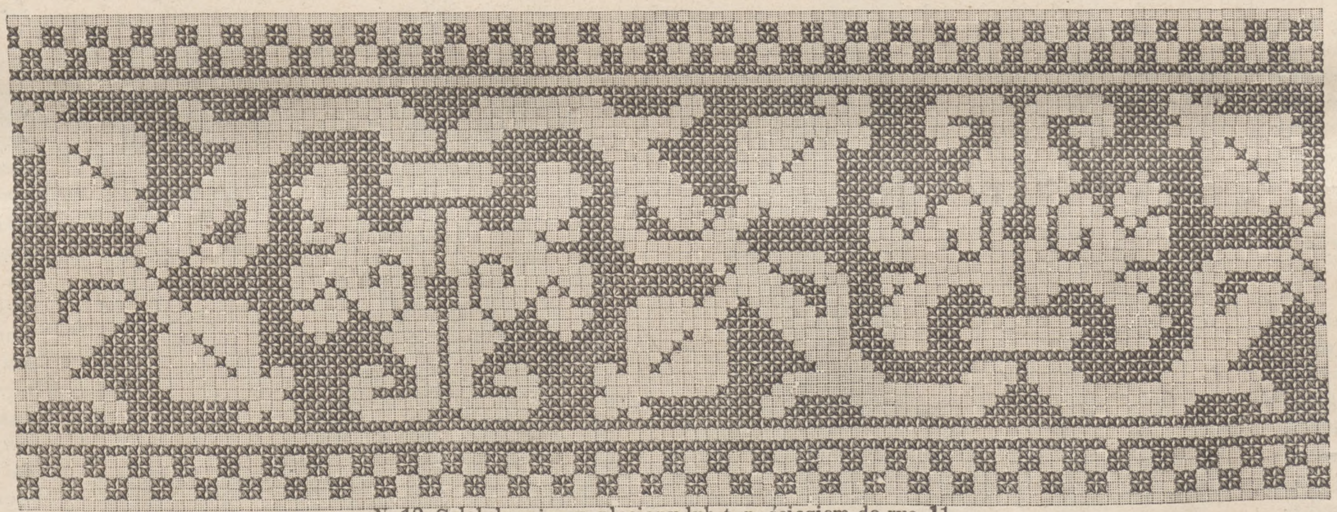
N. 8. Sukienka z przemarszczanym plastronem. Patrz ryc. 7.



N. 6. Kwadracik wyszyty ściegiem na dwie strony.

N. 22—23. Dywanik dziecinny ozdobiony haftem kolorowym. Desenie na arkuszu z krojami, f. 44 —52.

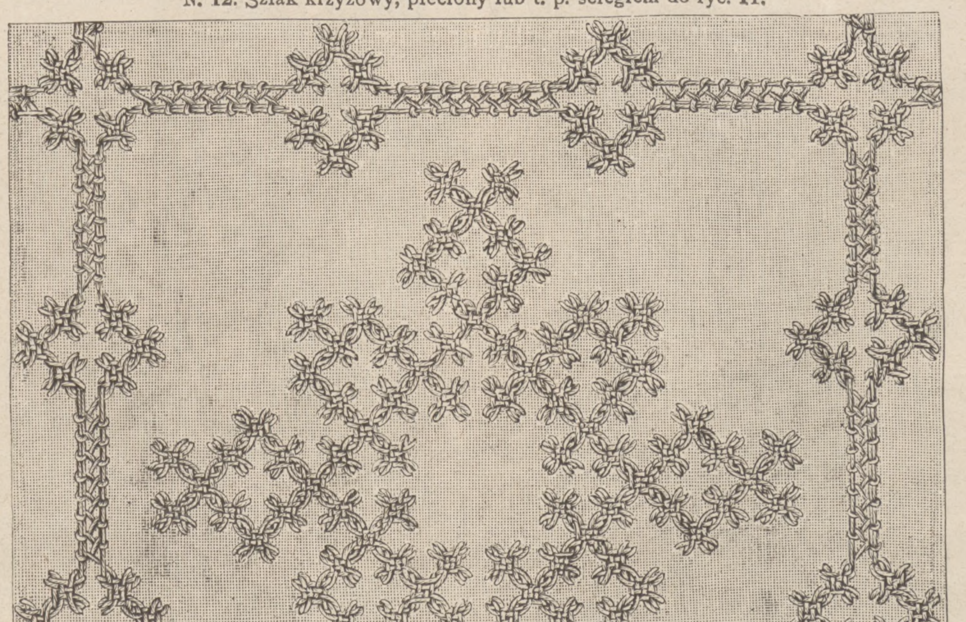
Ładny i pożyteczny podarunek dla małych dzieci stanowi dywanik, na którym bawić się mogą. Tło środkowe daje



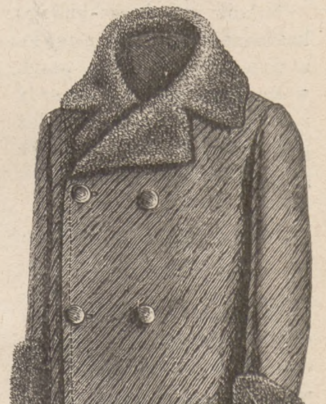
N. 12. Szlak krzyżowy, pleciony lub t. p. ściegiem do ryc. 11.



N. 9. Krótki paletocik. Patrz ryc. 35. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 72—77.



N. 13. Kwadracik na ścieg pleciony, do ryc. 11.



N. 10. Paletot dla chłopca.

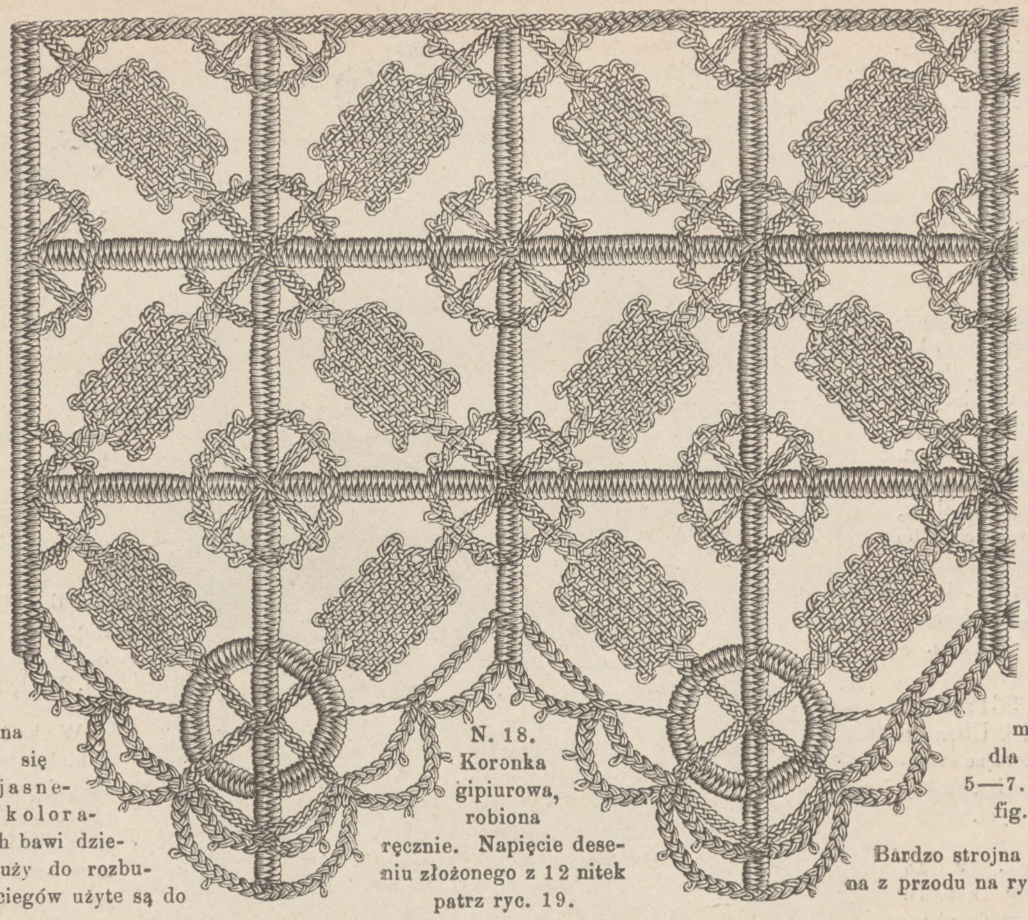


N. 14. Ścieg szydełkowy do pończochy ryc. 16.

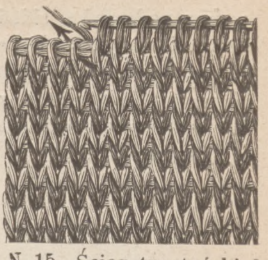


N. 17. Żabot z muślinu, koronki i wstążki.

się z sukna, mięsistej flaneli lub pluszu szafirowego albo ponsowego, a szlaki z buretu popielatego, na którym haftuje się rozmaite przedmioty, właściwemi kolorami. Wielkość dywanika może być dowolnie powiększona; nasz model miał tła 94 c. długości a 66 szerokości, a szlaki 22 c. szerokości. Rozmaite przedmioty pomieszczone na szlaku haftuje się włóczką crevel, jasnemi, naturalnemi kolorami, rozmaitość ich bawi dzieci, a zarazem służy do rozbudzenia uwagi. Najrozmaitsze rodzaje ściegów użyte są do takiego haftu; np. ścieg płaski, łańcuszkowy, dziergany, sznureczkowy, cierniowy i t. p. Kontury niektórych figur odznacza się sznureczkiem robionym szydełkiem i obróconym lewą stroną do wierzchu; taki sznureczek może także służyć do zapełnienia figur, gdy go użyjemy w odpowiednich cieniach lub kolorach i naszyjemy ściśle jeden przy drugim.



N. 18. Koronka gipiurowa, robiona ręcznie. Napięcie desenia złożonego z 12 nitek patrz ryc. 19.



N. 15. Ścieg tunetański do pończochy ryc. 16.



N. 16. Pończocha szydełkowa. Patrz ryc. 14—15.

N. 24—25. Płaszczyk z krótką pelerynką. Krój na arkuszu z formami N. V, fig. 23—29.

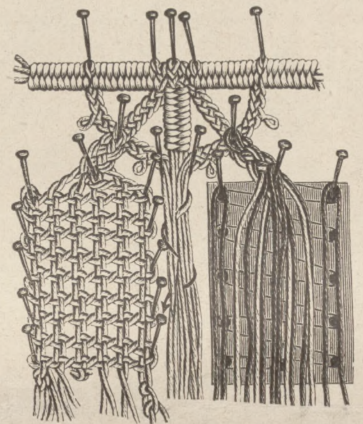
Materyał dodany do szerokości pleców, poniżej długości baskiny, zakłada się z każdej strony w płaską, aż do dołu zaprasowaną kontrafałdę, w przodach przecięte są otwory do kieszeni podszytych od spodu. Małą na ramionach zeszywaną pelerynkę, wszywa się w prosty pasek otaczający wykrój szyi i zdobi kokardami ze wstążki 3 cent. szerokiej. Brzegi płaszczyka są pare razy ostębnowane, do zapięcia służą duże guziki rogowe.

N. 26—27. Sukienka z vêtement paletocikowem dla dziewczynki lat 5—7. Krój N. XVII, fig. 99—102.

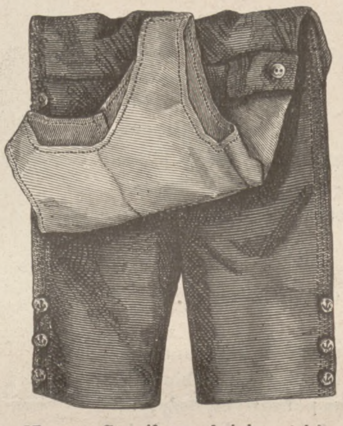
Bardzo strojna koronką ubrana sukienka, przedstawiona z przodu na ryc. 26, odrobiona była z ciemno-zielonego aksamitu i takiejże surah, z tej ostatniej dany był plastron z przodu i fałdowana część spódniczkowa. Na ryc. 27 dajemy takąż sukienkę zrobioną z bronzowego kaszmiru, z wypustkami i kokardami z atłasu. Na fig. 90 dajemy formę gładkiej podszewki plastronu, na której układa się kaszmir przemarszczany przy wykroju szyi, poniżej wcięcia w pasie i w odstępie 12 do 14 c. od dołu. Zwierzchni materyał trzeba przykroić 8 c. dłużej od podszewki plastronu i przyszyć do takowej w ten sposób u dołu, ażeby spuszczał się w bufę, 4 c. na spódniczkę. Przody zapięte są na guziki dochodzące do dolnego przemarszczenia. Część pleców niezeszytą od dołu, podszywa się je-



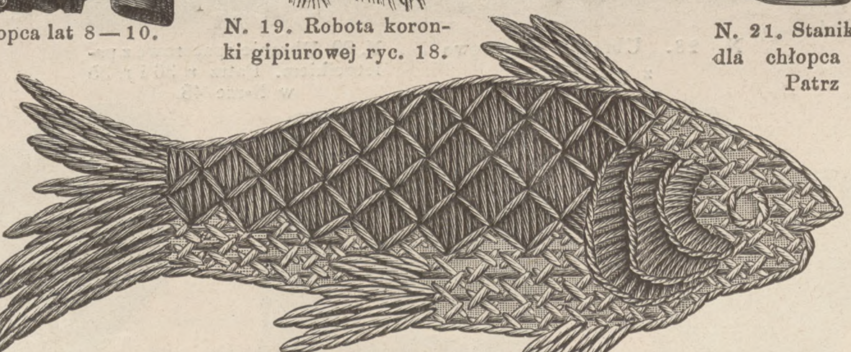
N. 20. Bluza dla chłopca lat 8—10. Patrz ryc. 21. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 80—84.



N. 19. Robota koronki gipiurowej ryc. 18.



N. 21. Stanik spodni i majtki dla chłopca lat 10—12. Patrz ryc. 20.



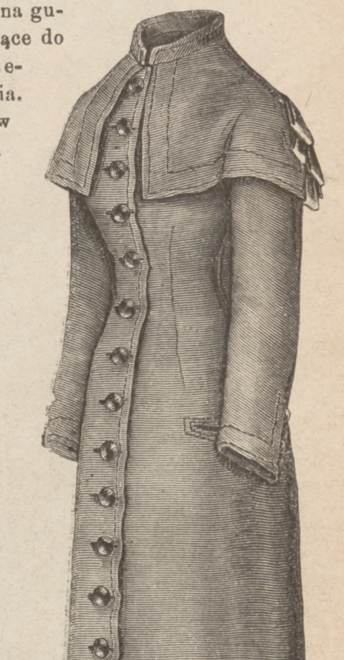
N. 22. Ryba. Haft kolorowy do ryc. 23.



N. 24. Płaszczyk z krótką pelerynką. Patrz ryc. 25. Krój na arkuszu N. V, fig. 23-29.



N. 23. Dywanik dla dziecka z wyszyciem kolorowem. Desenie patrz na arkuszu fig. 44—52.



N. 25. Płaszczyk z krótką pelerynką. Patrz ryc. 24.

wabną podszewką, składa w pukiel do spodu i zdobi szarfą atłasową. Rękawy z prostym 10 cent. szerokim mankietem przykroić podług fig. 96. Formę kołnierza fałdowanego z tyłu, dajemy na fig. 102. Kieszonki proste 12 cent. szerokie a 8 wysokie, nie są konieczne.



N. 26. Ubranie z paletocikowem vêtement dla dziewczynki lat 5-7. Patrz ryc. 27. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 99—102.

N. 28. Ubranie spacerowe z pelerynką.

Do sukni aksamitnej, pluszowej lub sukiennej, draperyę i pelerynkę można dać z surah lub kaszmiru gładkiego tego samego koloru, lub wrzucik albo kratę odmiennego koloru. Kokardy ze wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej.

N. 29, 36 i ryc. 35 w N. 48. Ubranie spacerowe ze stanikiem paletocikowym.

Ryc. 29 i 36 podaje z tyłu i z przodu ubranie spacerowe lub do ślizgawki, odrobione z ciemnego sukna, z plisowaną atłasową kamizelką. Do oszycia w miejsce futra można użyć piór.

N. 32—34. Spódnica czarna atłasowa.

Czarna atłasowa spódnica na ponsowej flanelkowej podszewce, ozdobiona była szlakiem robionym ściegiem krzyżowym, jedwabiem ponsowym, oszytym z brzegów przemarszczaniem 3 c. szerokiem. Fal-



N. 28. Ubranie spacerowe z pelerynką.

N. 29. Ubranie spacerowe z paletocikiem. Patrz r. 36 i r. 35 w N-rze 48.

Opis do N-ru 48.

N. 1. Wyszycie ściegiem plecionym do ryc. 11 w N-rze 47.

N. 2, 3 i 26—30. Kapelusze zimowe.

Szczegółowe podpisy pod rycinami objaśniają z czego dane przybranie i jaki jest kapelusz, dla braku miejsca nie możemy dawać opisów oddzielnych.

N. 6—10. Kołnierz i mankiety. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 39.

W kołnierzu z białej kanwy de congrès, paski kratki ażurowej podszyte są niebieską materyą surah; krając kołnierz podług fig. 39, materyał wzięty jest prosto przy brzegach dolnych. Kratka ażurowa dana trzema rzędami, wiąże się podług ryc. 10. Do przybrania służy koronka gipiurowa; wielka kokarda z materyi surah. Mankiety szyją się podług ryc. 6 lub 7.

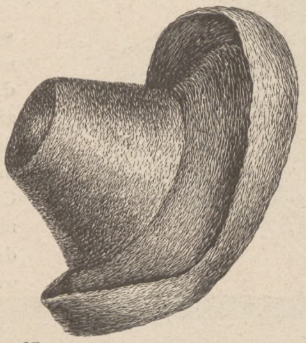
(D. c. n.)



N. 27. Ubranie z paletocikowem vêtement dla dziewczynki lat 5-7. Patrz ryc. 26.



N. 35. Krótki paletocik. Patrz ryc. 9. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 72—77.



N. 30. Fason kapelusza z popielatego filcu.

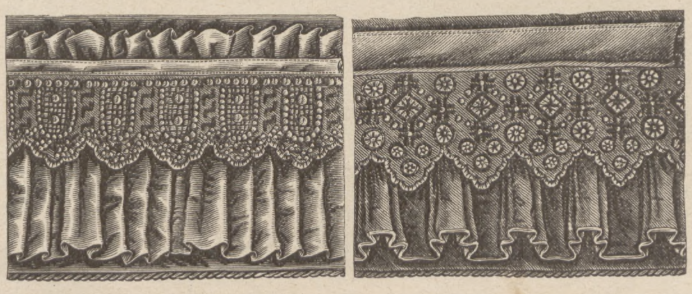


N. 32. Spódniczka czarna atłasowa. Patrz ryc. 33—34.



N. 31. Fason z główką kastorową a rondem pluszowem.

banka w kontrafałdy układana miała 8 c. szerokości; w górze spódniczka wszyta w karczek kolisty. Na ryc. 33 i 34, dajemy dwie próbki innego garnirunku, przy których szlaki 7 i 9 cent. szerokie, czarnym jedwabiem na czarnym atłasie ażurowo haftowane w maszynie, podkłada się atłasem kolorowym. W górze haft zakończa skośna stębnowana listewka, nad którą można dać jeszcze fałdowany lub plisowany nagłówek; falbanki można zakończyć kolorową wypustką.



N. 33—34. Garnirunki z czarnego atłasu i haftu do ryc. 32.



N. 36. Ubranie spacerowe z paletocikiem. Patrz ryc. 29.